Nr. 44. Warszawa, dnia 21 Października (3 Listopada) 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

POLITYKA.

ALARMY.

Koelnische Ztg. w przeszłym tygodniu wypuściła na widnokrąg europejski rakietę: zapowiedziała bliską już, tak bliską, wojnę między Francyą a Anglią, że ma ona wojna być według utartego żargonu, tylko „kwestyą czasu.“ Dziennik, niegdyś świetnie prowadzony, w dziejach umysłowości politycznej niemieckiej, a nawet europejskiej, wybitny i zasłużony, dziś z dawnej swej duszy zachował trochę liberalnego wiatru, ale utrzymał się przy stosunkach, a nawet je rozszerzył, gdyż nieraz już nawet za Bismarcka, z którym początkowo walczył, używano go za narzędzie do zwalczania opinii pruskiej, niemieckiej lub europejskiej. Zmieniło się wiele w samej gazecie, jak zmieniło się wiele naokoło niej; jedno tylko niewątpliwie pozostało bez zmiany: powaga wewnętrzna w robocie i poważanie dla niej z zewnątrz — dobra marka. Oczywiście, potykał się organ koloński nieraz, ale nie zwykł był puszczać się na wody jawnego kłamstwa. Jeśli uczestniczył w zmowach, to w zadzierzgniętych poważnie. Hodowli kaczek dziennikarskich się nie oddawał. Z tego znano go i dlatego szanowano, nie zgadzając się nawet na jego przekonania, które zresztą dziś są przeciętnym ładunkiem głowy pruskiej, sięgającej już aż pod samo sklepienie niebieskie.

Gdy taki dziennik wojnę wróży, gdy ją przed dwoma laty już psychologicznie wyrobioną widział, gdy ustawiczne zbrojenie się Francyi na lądzie, na pomorzach i morzu stwierdza jako fakt najniewątpliwszy a znamienny, gdy do podróży dwóch ministrów francuskich wojennych— wojska i marynarki — na Korsykę i do Afryki przywiązuje wagę oględzin przedstanowczych: opinia musiała się zatrwożyć, choćby same rządy w grę wprowadzone najspokojniej dalej uprawiać miały stosunki sąsiedzkiej przyjaźni z podścieliskiem i treścią sąsiedzkiej nienawiści. Ożywiły się rynki polityczne; sklepiki z przyszłością, redakcye gazet, zaczęły robić dobre interesa. Wojna jest zawsze rzeczą wielką, a wojna między Francyą i Anglią byłaby już ogromną. Wytężono przeto uszy, pozakładano świeże pióra i czekano. Postawa gabinetów przyniosła rozczarowanie. Wojnę zrobiła tylko gazeta kolońska; same strony wojujące nic o niej nie wiedzą

Niepoważny alarm, puszczony przez poważny organ, można złożyć spokojnie do akt: nie zajrzy do niego nigdy poważny polityk. Dziennik koloński prawdopodobnie był tylko pachołkiem p. Bülowa, który, jeśli ma tajemne jakie artykuły przy konwencyi z d. 16 z. m. z Anglią, pragnął do nich opinię niemiecką, a zwłaszcza angielską, przygotować, ukazując jej widmo wojny zaczepnej, o której wrzekomo myśli Francya, a od której musiałaby się bronić nietylko Anglia sama, ale i Niemcy. Po za tym domysłem pozostaje tylko naga przesada, przez zawiść ku Francyi narzucona, a wyłącznie już sumienie gazety obciążająca. Gdy w r. 1875 *Post* berlińska zamieściła swoje słynne *Krieg in Sicht*, była to zapowiedź czy przewidywanie zasługujące na uwagę nawet najpoważniejszych polityków, bo pod niem kryło się nie dwuznaczne zagrożenie wojną, od samego księcia Gorczakowa wyszłe, jak się później okazało. Ale gdy dziś dziennik koloński przepowiada wojnę — można spokojnie iść spać. Nic nie wskazuje tego momentu psychologicznego, który poprzedzić musi wszelką, nietylko wojnę— ale nawet samą myśl o wojnie. Rzeczpospolita Francuska jest przymierzową, nie jest wojowniczą, połknęła tyle pigułek angielskich i nie umarła od nich, połknie też i tę, jakby mogła się okazać konwencya anglo-niemiecka z d. 16 października. Nie robi się dziś wojen, tak jak dawniej, metodą zajazdową. Raptusiewiczów dziś niema w polityce. Rzemiosło jest kosztowne, a nadewszystko straszne.

Odrabiać przeszłość, odzyskiwać straty poniesione wskutek chciwości angielskiej, a niezdarności lub — niegotowości wojennej, psychologicznej i taktycznej francuskiej — o tem nikt dziś we Francyi nie myśli. I Egipt i Faszoda i Polinezya — wszystko to już stare etykiety od wypitego wina. Jest wiekowa zawiść, jest żywiołowy jakiś rozdźwięk między znormandczonym Brytem i Saksonem a zfrancuziałym Normandem i Gallem: jest jakieś nierozumne, dla porządku świata złowrogie co pewien czas chwytanie się za bary: ale doba dzisiejsza, wiek prawdziwie żelazny, nie pozwala na improwizowane nagle uciechy przetrzepania tego, kogo się nie lubi, nienawidzi, nie cierpi. Nawet gdyby Anglia była sprzymierzoną z Niemcami, jej przeciwstawienie się Francyi — przy rodzaju spraw im wspólnych — nie pozwoliłoby przewidywać rozwiązania sporu orężem. Sama metoda jak największej ostrożności i wynajdywania punktów i linij środkowych, zapobiegłaby starciu, gdyby to już blizkiem być miało. Przymierze anglo-niemieckie byłoby dla Francyi drażniącem, wyzywającem, gdyby w ścisłem pojęciu miało się stać niemiecko-angielskiem: przymierzem Niemiec z Anglią przeciwko Francyi: ale w obecnem zbliżeniu się obu mocarstw w konwencyi październikowej takiego właśnie zazębienia

się ich o siebie nie widać ani śladu. Alzacya! Niemcy Alzacyę już mają, Francuzi już jej mieć nie chcą, i sama Alzacya z niesłychaną szybkością już od Francyi uciekła. Zamiast Alzacyi ma Francya Tonkin, ma Sudan, będzie miała Jün-nan. Ukochanej córy swojej nie wykupi z niewoli — bo zużyła swą energię na nowe zdobycze, z których będzie miała nowe syny i córy. Mądra rada Bismarcka stała się rzeczywistością! Patryotyzm wędruje o żebraczym kiju, ale duma wielkiego mocarstwa ma czem się karmić i napawać.

Tydzień polityczny Rokowania z Chinami jeszcze nie rozpoczęte. Pomimo pozorów, jak powrót p. Giersa do Pekinu, chwila rozpoczęcia nie jest jeszcze blizką. Jednocześnie odbywają się dwa działania, dwie kampanie: Europa chce na Chinach wymódz warunki przedwstępne i na sobie samej musi wymódz zgodę. Tej zgody nie widać. Brak jej stwierdziła konwencya z 16-go października, stwierdza ją i przewlekanie się roboty przy wspólnym stole. Zajęcie Mandżuryi przez Rosyę nie jest wyłączną tylko przyczyną zwłoki: niema porozumienia się i co warunków pokoju. Stany Zjednoczone nie zgadzają się na p. Delcassego projekt rozzbrojenia Chin. Bezinteresowność anglo-niemiecka wydaje się podejrzaną; domyślać się za nią można wzajemnego wykrójenia sobie i poręczenia zdobyczy. Wiele trudności sprawia nieuchwytność dzisiejszego rzadu chińskiego, jego ucieczka z Pekinu i ciągłe falowanie cesarzowej-wdowy i cesarza, który dotychczas był jej zabawką i ofiarą.

Powstanie nad wielką rzeką kantońską nie ustaje.

Wyprawa wspólna do Paoting-fu zakończyła się zajęciem tego miasta d. 20 z. m. Europejczyków na 3 dni ubiegli Francuzi. Miasto wspólnie obsadzone — dopiero teraz. Chińczycy nie bronili go wcale.

Waldeck-Rousseau d. 28 z. m. wypowiedział wielką mowę programową w Tuluzie.

Następcą Bülowa w sekretaryacie stanu do spraw zagranicznych został Richthofen, dotychczasowy jego pomocnik.

Niemcy wiernokonstytucyjni wydali manifest przeciw Czechom. Wróżą dyktaturę słowiańską, jeśli urzędowym językiem nie będzie niemiecki.

Ks. Bulgarski zagaił zgromadzenie narodowe.

Z Transwalu powstańcy przenoszą się do Oranii. Staczają tu pomyślne potyczki dzięki zasadzkom. Zabierają całe kolumny angielskie. W walkach Anglicy ponoszą stosunkowo wielkie straty.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

NASZE ŻYCIE UMYSŁOWE.

II. My i zagranica.

Jesteśmy społeczeństwem biednem, zmuszonem nadto polegać na inicyatywie prywatnej, ilekroć chodzi o podniesienie naszego poziomu umysłowego. W takiej Anglii, zamożnej w ludzi, którzy rozporządzają znacznymi środkami, powstało wiele ognisk, mających na celu posuwanie wiedzy naprzód wysiłkami prywatnymi. Istnieją tam pracownie fizyczne i chemiczne, spostrzegalnie astronomiczne i inne zakłady, powołane do życia przez osoby prywatne; bogaci miłośnicy nauki nietylko sami pracują w tych zakładach, przez siebie założonych, ale także i innym ofiarują możność samodzielnych studyów, dostarczając nietylko środków pracy naukowej, ale i utrzymania. A nadto ci mecenasi, stwarzający warunki pracy naukowej, i pracownicy, przysparzający wiedzy, czują nad sobą kontrolę z jednej strony wykształconego społeczeństwa, z drugiej — przedstawicieli nauki urzędowej, którzy może nie zawsze odznaczają się polotem myśli, lecz zawsze rozporządzają znacznym zasobem erudycyi. Ale my jesteśmy społeczeństwem ubogiem, i to bardzo ubogiem. O tem, żebyśmy stworzyli prywatne placówki wiedzy, trudno nam marzyć. Co najwyżej, możemy zdobyć się na pracowników pojedynczych i to niezbyt licznych, bo ci, którzy mają środki pieniężne, jakoś nie garną się do takiej działalności, ci zaś, którzy się garną, niebawem z doświadczenia poznają, iż człowiek żyje przedewszystkiem chlebem, a więc od pracy naukowej przechodzą do adwokatury, praktyki lekarskiej, nauczycielskiej. Z pośród moich znajomych zdołałbym wskazać wielu, którzy w umysłowości swojej posiadając wszelkie warunki zwrócenia się w kierunku pracy naukowej, zajęli się innemi rzeczami, mniej dla nich pociągającemi, ale posiadającemi tę zaletę, iż dają jakiekolwiek utrzymanie. Jeśli zaś ten i ów, pomimo wszystkiego, zajmuje się jeszcze pracą naukową, to przecież rzadko trzyma się na poziomie wiedzy europejskiej. Braknie mu pracowni, książek, wymiany myśli. A ponieważ życie wymaga niekiedy wyjaśnienia pewnych kwestyj i zagadnień, wyjaśnienia te są dawane w formie, w której blaga kłóci się o lepsze z nieuctwem. Kontroli zaś nad prywatnymi wysiłkami naukowymi niema żadnej — mówię specyalnie o Warszawie — a jeśli istnieją niekiedy osoby, mogące ją wykonać, to, skrępowane względami towarzyskimi, trzymają się zasady spoglądania przez szpary na krzewiące się lekkie traktowanie rzeczy najpoważniejszych. W naszej „warszawskiej“ nauce lekkoduchów jest co niemiara, a nadto zapanowała w niej czelność. Ludzie piszą o kwestyach, których nie zgłębili; jak pawie, popisują się erudycyą zdawkową, z rzeczy naukowych robią zabawki *five o clock* owe. By zostać znakomitym uczonym, trzeba mieć jedno — jak mawia Wł. Nałkowski — posiadać metodę blagi...

Warunki materyalne, w jakich żyjemy, nie pozwalają nam stwarzać nauki siłami własnemi, tj. systematycznie dostarczać cennych przyczynków do wszechludzkiej skarbnicy wiedzy. Istnieją tylko pracownicy rozstrzeleni, lecz wysiłki ich, ograniczone tą lub inną dziedziną wiedzy, nie pokrywają w sumie swojej całego jej pola. Na tych nielicznych mężach pracy naukowej ciąży zadanie doniosłe: trzymania na wodzy blagi, która każdej chwili gotowa głos zabrać i która tak się już rozwielmożniła w naszem życiu. Są oni nam potrzebni nie tyle w charakterze robotników, wznoszących gmach wiedzy, ile jako cenzorowie i kontrolerzy naszego poziomu umysłowego i nawet moralnego, a największe wydatki na ich istnienie i utrzymanie nie wydają mi się zbyt wielkimi. Kładę możliwie silny nacisk na tę konieczność, bo co do systematycznego i rozległego, a przedewszystkiem wszechstronnego przyczyniania się społeczności naszej do zwiększania zasobów wiedzy, przyznam się — o tej możliwości zwątpiłem, przynajmniej w obrębie teraźniejszości i najbliższej przyszłości. Gorzka to i nieprzyjemna prawda, ale, mojem zdaniem, są wypadki, w których lepiej wypowiedzieć to, co jest, niż ukrywać i zamilczać. Im prędzej zrozumiemy, iż od sił swojskich nie możemy spodziewać się, ażeby z ich działalności powstało obfite a zasobne źródło wiedzy i podniosło nasz poziom umysłowy, tem rychlej może z lobędziemy się na inną robotę bardzo pilną i niezbędną — przyswajania energicznego skądinąd i owo-

---

Wasyl Stefanyk.

I.

SZKODA.

Romanowej krowa zachorowała. Leżała na słomie i patrzała smutnie dużemi, szaremi oczyma. Nozdrza jej drżały, marszczyła się skóra — trzęsła się cała w gorączce. Czuć od niej było chorobę i ból straszny a niemy. Żal wtedy najbardziej, że bydle przemówić i poskarżyć się nie umie.

„Oczywista zeć, że z ni nic. Możeby ta chto pomógł, jakby z krwi, ale musi okiem rzucili, bodaj im powylaziły, i teraz niema rady nijakiej. Ofiarujta to Jezusowi, może was pociesy...

Tak mówił Jaśko, znający się na bydlęciu.

„Aj Jaśku, widzę ja, że nie ma rady, ale jak ji zabraknie, to i mnie tu nie trza. Życiem se całe zmarnowała, żeby się krowiny doczekać. Wdowom się ostałam, bez chłopa, syn w wojsku umarł, a ja harowałam i pracowałam dniami i nocami. Nocki zimowe takie długie, ale już do rana przędę, aż mi pazury drętwiejom, aż mi piach w oczach staje. Bogu jednemu wiadomo, jak ci ja ten gros ciułałam, pókim nie uciułała.

„Moiście wy, bidnemu zawdy tak, choćbyś ta ręcy po łokcie urobił, to nic z tego nie przyńdzie. Taka już wola boska, co tu poradzimy. Trze jakoś i tak żyć.

„Ale niewiada co robić, do cego sie brać, ani u kogo by porady prosić.

„Ofiarujta się jednej niedzieli, mse świętom zakupta i nawarzta strawy, Albo przyrzecta na odpust puńść do Przemienienia Pańskiego, powiadajom, że bardzo pomocne.

„Ofiarowałam ci ja sie i do Matki Boskiej i do Przemienienia Pańskiego...

„Może woma Pan Jezus przemieni, jak sie zdata na Niego. Niech was ta Bóg najwyższyy pocieszy.“

I poszedł Jaśko.

Romanowa siadła przy krowie i pilnowała jej, żeby nie zdechła. Dawała jej co miała najlepszego, ale krowa nic jeść nie chciała. Patrzała jeno na babę i powiększała jej żałość.

„Maluśka, maluśka, co cie boli. Nie ostawuj ty stary baby bez łyżki mleka. Poratuj me jakoś.“

I głaskała krowę po czole i pod gardło i zawodziła nad nią.

„Dzie mi się, nieborze, drugiej krowy dokutać?! Ani palicami rusać, ani igły utrzymać nie potrafie. Jakże mi na starość o krowie myśleć.“

Krowa trzęsła się, a Romanowa przykryła ją własnym kożuchem i na mrozie siedziała przy niej rozmarzona. Dzwoniła zębami ale nie odstępowała krowy.

„A może to za grzechy tak mnie Pan Bóg karze. Nieraz ja przez ciebie zgrzeszyła, siroto, nie bój sie. Miedzym trochę spasła, koniczyni skubnęła, kłosów trochy zerwała. Alem mleka nikomu nie załowała. Czy dziecko zachoruje, czy kobieta w słabości, ide z garnuszkiem mleka. I syram ludziom rozdawała do klusek. Jezu słodki, nie karaj że me tak ciężko, gdowe ubogom. Nie, już nie tknę cudzego, jeno mi krowinę podaruj.“

Tak wyrzekała Romanowa do późnej nocy nad krową. Święconą wodą ją kropiła, ale nic nie pomagało. Rozciągnęła się krowa na całą stajenkę i robiła bokami, aż w niej ryczało. Baba ją głaskała,

ców pracy naukowej. Społeczeństwo nasze, jak każde inne, wymaga pokarmu umysłowego, a dostarczanie go jest niezbędnem, jeśli odległość pomiędzy nami a przodującemi rozwojowi umysłowemu społeczeństwami nie ma się zwiększać z rokiem każdym na niekorzyść naszą. Tej rosnącej przepaści umysłowej nie zapełnimy samodzielną zapobiegliwością naukową. Pozostaje więc jedno wyjście: czerpać z obcej krynicy, i to czerpać pełną garścią, ażeby podać zgłodniałym współbraciom to, czego nie możemy im ofiarować z dorobku własnego.

Przyjrzyjmy się, o ile i jak wywiązaliśmy się z tego zadania.

Żyjemy zasobami życia umysłowego Europy, biorąc od niej bardzo wiele i w zamian dając jej bardzo mało. Ale, o ile nie bierzemy pod uwagę nielicznych, poważniejszych i zwłaszcza sumienniejszych umysłów, oddziaływanie zagranicy i zapożyczanie się u niej przedstawiają obraz bardzo charakterystyczny. Mniej dbamy o to, ażeby czerpać światło i ciepło z tamtejszego wielkiego ogniska, przy którem „grzeją się duchy," lecz natomiast chciwie polujemy na wszelkie jaskrawe fajerwerki, strzelające tam ku górze i swoją błyskotliwością olśniewające lekkoduchów. W filozofii europejskiej odbywa się zwrot, usiłujący postawić ją na poziomie istniejącego materyału naukowego, a jednocześnie dostarczający probierzy dla wyrokowania o nim. Piśmiennictwo nasze nie posiada ani jednego podręcznika teoryi poznania: dzieła takie, jak Macha, zajmujące miejsce pośrednie pomiędzy filozofią a wykładem nauki specyalnej, przełożone na język polski, od paru lat tułają się w rękopisie, nie znajdując wydawcy (mam na myśli jego *Historyę mechaniki*), a tymczasem wydajemy taki odpadek, jak „filozofia neo-scholastyczna" i z tryumfem wprowadzamy ją do naszego ubożuchnego społeczeństwa. Ważą się zdania, niektóre z twierdzeń naukowych, uchodzące dotąd za podstawowe, zostały poddane krytyce, myśl ludzka usiłuje ogarnąć całokształt faktów i boryka się z pierwszemi zagadkami, lecz cofa się, ażeby z nowej strony uderzyć na szaniec, a my małpujemy Bruńetiere'a i w fejletonach, przeznaczonych dla szerokiego koła czytelników, z pogardą odzywamy się o wszelkiej nauce i między wierszami rozpowszechniamy myśl o jej nieużyteczności społecznej. Nauka zbankrutowała! A kiedy zbankrutowała, to po co nieść ją społeczeństwu? — właściwiej będzie karmić je naszymi własnymi paradoksami i podsuwać mu dawkę lenistwa umysłowego. W sferze zagadnień moralnych powstają tam, na Zachodzie, zdrowe a jędrne prądy, ogarniające szerokie koła nizin społecznych, występują apostołowie nowej etyki zarówno w stosunku wzajemnym człowieka do człowieka, jako też żyjących pokoleń względem tych, które dopiero przyjdą na świat. My dostrzegliśmy przedewszystkiem Nietzschego, nie myśliciela, ale poetę, u którego jedno zdanie przeczy drugiemu, a którego, bądź co bądź, nie można posądzać o nadmiar zdrowia. Niektóre twierdzenia, zwłaszcza o kobiecie lub prawie silniejszego, brzmią jako dźwięki złowieszcze. Raczej jest to błyskotliwy, migocący ognik, który niekiedy buja nad polem urodzajnem, ale częściej unosi się nad trzęsawiskami. Wreszcie co do nauki ścisłej — ale czy nie zbyteczna rozwodzić się nad tą kwestyą? Należałem do redakcyi „Poradnika dla samouków." Nie było tam ani jednego działu, w którymby układający wskazówki nie znajdowali się w przykrem położeniu polecania książek w językach obcych. I gdyby to chodziło o specyalne monografie pewnej sfery zjawisk, monografie, których liczba nawet w społeczeństwach, lepiej niż nasze uposażonych, jest pospolicie nieznaczna! Ale brak dawał się odczuwać nawet w zakresie dzieł zasadniczych, tych, które każdy kraj powinien posiadać, jeśli nie w oryginalnem opracowaniu, to przynajmniej w przekładzie. Rozpatrzmy chociaż działy, których redakcya na mnie osobiście przypadła. Antropologia ogólna w języku naszym nie posiada ani jednej książki, z którejby można powziąć dokładne pojęcie o jej zadaniach i metodach. A jednak posiadanie podobnego podręcznika jest koniecznością. Medycynę kończy wielu, którzy nie władają żadnym europejskim językiem, a tymczasem mogliby bardzo korzystnie pracować nad poznaniem naszych stosunków antropologicznych, podczas swej praktyki. Nie wspominamy już o bezwzględnym braku monografij specyalniejszych. Nie rozporządzamy żadnym podręcznikiem paleontologii ani archeologii przedhistorycznej, nie posiadamy również wyczerpującego dzieła z zakresu historyi kultury ludzkiej. Prócz paru podręczników i monografij, nie posiadamy ani jednej pracy z tak licznych dzieł, dotyczących historyi powszechnej, i niemal jesteśmy pozbawieni wszelkich wiadomości o najnowszych prądach postępowych w tej dziedzinie. W ekonomii politycznej nieustannie trzeba było walczyć z brakiem najbardziej podstawowych książek. I dodajmy, że wszystkie te luki dotyczą w naszym wykładzie tylko drugiego szczebla samouków, tych mianowicie, wśród których przekład porządnego podręcznika może liczyć na dostateczną sprzedaż. Co do szczebla trzeciego, samouk znajdzie jedynie wyliczenie dzieł cudzoziemskich, nieraz zupełnie dla niego niedostępnych skutkiem nieznajomości języków. Wreszcie co do pierwszego szczebla, układający nieraz musieli zaprzestać roboty, bo nie mieli żadnej książki do polecenia samoukom tego stopnia.

Przykry to obraz, tem przykrzejszy, iż świadczy o naszej opieszałości. Tam, gdzie znalazły się pieniądze na specyalne wydawnictwa, mało czytane, tam, sądzę, przy odpowiedniej zapobiegliwości i pojmowaniu potrzeb społeczeństwa, dałoby się chyba wyszukać fundusze na zapełnienie luk w zasadniczych punktach. Ale my nieraz wolimy sprawiać sobie wspaniałe wierzchnie ubranie, chociaż chodzimy w podartej koszuli, i musimy w niewielkiem mieszkanku posiadać salonik, chociaż, jak śledzie, ciśniemy się w niewielkiej sypialni. Stosunki te, tak smutne, dają nie mniej smutne pojęcie o naszej świadomości społecznej. Mamy często na języku dobro publiczne — i nieraz pod taką frazeologią ukrywa się rzeczywiście głębokie uczucie ogólniejsze. A tymczasem niewiele robimy, gdy chodzi o to, ażeby nie pozwalać naszemu życiu umysłowemu zsuwać się na coraz niższy szczebel. Narody, jeśli pragną utrzymać się na powierzchni odmętu dziejowego, muszą iść pod względem umysłowym naprzód. Winny posiadać ogniska światła i ciepła. Opieszałość w dostarczaniu pożywnego pokarmu umysłowego jest wyrokiem śmierci w dalekiej przyszłości. Modernizmy, paradoksy *a la* Brunetiere, filozofie neo-scholastyczne nie zapełnią niedostatku, a jedynie stwierdzają słowa poetki, że

...nasz młynek na strudze
Obraca plewy swojskie i cudze.

K. R. Z.

Z NIEMIEC

Berlin, 28 października.

Le roi est mort, vive le roi. Jeszcze centrum nie załatało sutanny rozdartej po nieodżałowanej *lex Heinze*, jeszcze „związek Gōthego" nie wytrzeźwiał z szampana, wypitego na cześć

---

obejmowała, namawiała, ale przecie nic pomódz nie mogła.

Księżyc oświetlał przez drzwi stajenkę i baba widziała każdy ruch krowy. Krowina podniosła się wreszcie, ledwie trzymając się na nogach. Rozglądała się po stajni, jakby żegnając się z każdym kątem. Potem padła na słomę i rozciągnęła się jak struna. Romanowa klękła przy niej i wiechciem rozcierała jej boki. Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Krowa ryknęła głośno, zaczęła kopać nogami. Romanowej zrobiło się gorąco, w oczach jej pociemniało i upadła zalana krwią. Krowa biła nogami i rozdzierała babę na kawałki.

Obie walczyły ze śmiercią.

II.

JESIEŃ.

Bartek łatał buty zimowe. Nie łatał, raczej do kupy zczepiał. Grzech by był dawać do szewca takie próchno, zresztą grosza szkoda. Kobieta bosa, bosuteńka, nie ma jak wody do chałupy przynieść. Zabrał się tedy Bartek od rana do butów. Siedział na ławie przy oknie, obłożył się staremi skórami, nitki woskował na dratwę i wściekał się, jak pies.

„Dali dryś, cisne w ogień, wrzuce w piec i pozbawie się. Skórzysko się zeschło, nitki ni jak przewlec, bo się przerwie—wymieść na gnój, napłuć i tyla."

Gadając do butów, Bartek przecie łatał je z wielką troskliwością. Co przewlecze nitkę przez skórę, to się przygląda z niepokojem, czy nie przecięła. Robota szła powoli i Bartek się gniewał.

— Żelazo, przecie nie skóra, a zetrze się, co tu gadać! Ctyry roki jak kupione, bo rychtyk ctyry tej jesieni, czas im już wielki. Ale te zime musom jescze wytrzymuć, zeby ta niewiada co.

Łatał i złościł się; sto razy chciał rzucać w piec, albo na gnój.

Bartkowa siedziała na przypiecku i łatała bieliznę.

— Porozpadały się na sieczkę. Konopi nie zasiej, bo trzeba jeść, płótna nie kup, bo nie ma za co — przyjdzie chyba nago chodzić. W jednem miejscu załatas, w drugiem się przetrze. Jakby tego nie prał toby się może mniej darło, nawet ich teraz nie piere jak trza, ale pajęczyna, pajęcynom. Bóg wie, jak ich łatać, z jakiego boku by się brać do nich?

Z takiemi myślami siedziała Bartkowa nad kupą szmat. Blade oblicze wpatrzone było w podarte koszuliny i wyrażało bezradność. Grube podarte płótno z pozacieranemi wyszywkami wyglądało jak żołnierze po wojnie. A ona niby siostra miłosierdzia ze smutkiem i troską chciała choć czem bądź pomódz nieszczęśliwym ranionym.

— Zimą to jeszcze w tem przebidujemy, ale lato — to Bóg jeden wie.

I szarą nitką wodziła naokoło łat i dumała nad szarem życia swojem.

Na przypiecku leżała matka Bartka. Malcńka baba, nie wiele większa od dziesięcioletniego dziecka. Kaszlała bez ustanku.

— Jezu, Jezusieńku, ześlij ty na mnie śmierć, niech ja się nie poniewieram tak ciężko. Wszyćkie grzechy, musi, odpokutowałam, którnem sgrzesyła. Jensze umirajom, choćby im czas żyć, majątki i dobro porzucajom, a ja nikiej, kwardy kamień, co go rozbić nie można. Jezu, Jezu, za cóż me tak ciężko kazes?

A kaszel ją rozsadzał.

Około baby siedziały dzieci. Kiedy baba zanosiła się od kaszlu i siniała, patrzały

wielkiego zwycięztwa, a już sławetna *lex* znalazła następcę, który bez manifestu i zapowiedzi wielkich czynów rozpoczął swe królowanie. Ministrowie pruscy, co mogliby być majordomami za Pepina Krótkiego, Ludwika Grubego lub Wilhelma Milczącego (wszakże i takiego znamy z historyi), ustąpili wprawdzie podczas obrad nad nieszczęsną *lex* pod naciskiem Menzlów i Momsenów oraz opinii inteligencyi niemieckiej i całego świata. Ale powróciwszy z pogrzebu parlamentarnego, wprowadzili tylną furtką do gmachu policyjnego nowego władcę. *Sic vult centrum voluntaes centri suprema lex esto.* Komu bowiem zawdzięcza państwo niemieckie przeprowadzenie traktatów handlowych w r. 1893, wbrew frondzie konserwatywnej, jeśli nie stronnictwu ultramontańskiemu? Kto zatwierdza ustawy wojskowe, kto buduje okręty, kto daje pieniądze na zakup bezużytecznych wysp dla położenia fundamentu „Wielko-Niemiec?“ Kto... ale na wołowej skórze trudno by spisać wszystkie zasługi patryotyczne centrum. Kto opłaci koszta walki feldmarszałka Waldersee'go z cieniami chińskimi. Może lewica? Bynajmniej. Przyjdą tacy: czerwony pan August i gruby pan Eugeniusz i zaczną sarkastycznym tonem dowodzić, iż cała sprawa zakrawa raczej na epizod karnawałowy, niż na zajście polityczne, że wyrzucono za okno 100 mil. marek krwawego grosza itd. Inaczej centrum. Kochany i czcigodny żongler, Lieber, wejdzie na mównicę i patetycznym głosem zawoła: „i my jesteśmy przeciwko...“ a wtedy cały sztab rady związkowej pojdzie na bibkę do Siechena, gdyż tego rodzaju preludyum oznacza zawsze w ustach wielkiego parlamentaryusza zatwierdzenie wszystkich życzeń i zachcianek rządowych. Rząd niemiecki może robić, co mu się podoba, a zawsze będzie kładł swe ręce na parlamencie „jak na szklanej harmoniki kręgach,“ dopóki będzie posiadał serce centrum. Serce! Nie trzeba znowuż wymagać od centrum, aby ponosiło ofiary i w pocie czoła wykonywało swe ćwiczenie linoskokowe jedynie dla pięknych oczu Hohenlohego, majestatycznej brody Posadowskiego lub czyjegoś uroczego wąsa. Z natury rzeczy żąda i ono wynagrodzenia za swą fatygę. Życzy sobie ono np. szkoły wyznaniowej, mianowania w jednakowej ilości katolickich i ewangelickich urzędników oraz przywołania napowrót zakonu OO. Jezuitów. Punkt środkowy tego programu został dawno urzeczywistniony. Numer pierwszy jest chwilowo przynajmniej utopią, a co się tyczy zakonu jezuickiego, to rząd chowa prezent ten na chwilę bardziej stosowną, jako działo największego kalibru, które wytoczy na pole walki parlamentarnej. Tymczasem, ponieważ ręka rękę myć musi, podtrzymuje się przyjaźń drobnymi upominkami, a takim właśnie napiwkiem politycznym jest *lex Heinze*, bez *lex Heinze* na papierze. A to znaczy, że policya, na zasadzie własnego widzi mi się, usuwa z okien wystawowych obrazy, na których staniki bogiń nie są zapięte na wszystkie guziki, a aniołki nie figurują z krzyżykiem na szyi i czapką marynarską a la Waldersee na główce, to znaczy, że cenzor pali na autodafé wszystkie sztuki, w których Alarykowie nie wzywają do wycinania w pień wrogów. Doszło do tego, że zakazano deklamować „Pieśń czarownicy,“ wiersz tajnego radcy i *poetae laureati*, Wildenbrucha i że ten piewca chwały teutońskiej zaproponował założenie akademii literackiej, która rozstrzygała by o naganności tej lub innej premiery teatralnej. Doszło do tego, że cenzura teatralna skazuje na zagładę sztukę, jeśli pomiędzy wierszami przegląda satyra na junkrów. W „Luzaku“ autor Jaffé przedstawił namiętność do gry, grasującą w warstwach pokrewnych sławnemu „Klubowi niewiniątek,“ oraz obłudę, praktykowaną pośród pomorskich przedstawicieli krwi błękitnej. Oburzyło cenzora to, iż plebejusz ośmielił się tak oczernić sól ziemi pruskiej. Autor coprawda zaapelował do trybunału administracyjnego, ale trzeba pamiętać, iż tego rodzaju wędrówka przez piekło policyjne i czyściec sądowy pociąga za sobą olbrzymie koszta i zniechęca autorów dramatycznych. Farsa Blumenthala u Kadelburga, początkowo obciążona klątwą cenzora, uległa wreszcie rehabilitacyi, gdy autorowie osobiście złożyli cenzorowi wizytę i rozproszyli dręczące jego sumienie wątpliwości.

Największe oburzenie wzbudziła w stróżach moralności sztuka Jerzego Ergla p. t. „Wycieczka w dziedzinę moralności.“ Autor w swej bezgranicznej naiwności odważył się wychłostać obrońców *lex Heintze*. W majątku pomorskim — a więc znowu ziemia święta Prus — zawiązuje się stowarzyszenie dla obrony moralności. Kandydaturę na przewodniczącego postawił sam właściciel majątku, maczający ręce swe w rozmaitych nieczystych sprawkach. Obłudnika demaskuje młody entuzyasta, Ascher, tak doskonale... iż Tartuffe a wybierają na przewodniczącego, a młody idealista jest zmuszony opuścić Eden pomorski w towarzystwie dzielącej jego poglądy kuzynki. Sztukę tę wystawiono w Hamburgu i podobno obyczajność na tem niewiele ucierpiała. Ogółem zabroniono w tym roku 28 nowych sztuk teatralnych. Bardzo być może, iż huragan niszczycielski wkrótce ustanie, a dla sztuki i teatru wzejdzie znowu słońce spokoju, reakcya jednak ani na jotę się nie zmieni. Dopóki centrum i junkrzy będą tonęli w uścisku braterskim, dopóty zagrożoną jest w Niemczech wolność myśli, słowa i twórczości. Już od lat wielu optymiści przepowiadają runięcie wieży centrowej, a ona tymczasem stoi niezachwianie jak opoka. Był czas, kiedy centrum było prześladowanym kopciuszkiem, a Bismarck nie chciał iść do Kanossy. W tedy rozbrzmiewało hasło: „katolicy wszystkich stanów, organizujcie się!“ Chłopi i rzemieślnicy, magnaci przemysłowi i robotnicy, wielcy właściciele ziemscy i parobcy wiejscy spieszyli pod sztandar ultramontański, a Bismarck musiał zwinąć chorągiewkę przed milionowym zastępem, pełnym zapału i protestu. Centrum dzięki swym 100 głosom zagarnęło ster rządu, a Lieber, następca Windhorsta, stał się „rejentem Rzeszy,“ jak go tytułuje ironicznie prasa niemiecka. Z chwilą gdy wyznanie katolickie zyskało w Niemczech zupełne równouprawnienie, zdawało się, iż istnienie odrębnej partyi ultramontańskiej straciło zupełnie racyę bytu, ale tu właśnie okazało się, co znaczy organizacya. Dowódcy zrozumieli, iż jeżeli ta pstra masa o interesach rozbieżnych ma trzymać się ławą, należy program zmieniać zależnie od sytuacyi. I oto zatknięto na wieży centrowej zamiast sztandaru — chorągiewkę, którą wiatr obraca na wszystkie strony. W ostatnich kilku latach ten kurek na kościele przybrał kierunek szczególnie złowrogi dla życia społecznego Niemiec. W r. 1893 Caprivi bez wysokiego zezwolenia junkrów przeprowadził traktaty handlowe. Agraryusze tworzą potężną organizacyę, która trzęsie rządem i pomiata ministrami. „Związek rolników niemieckich“ przekroczył nawet Men i wtargnął do Niemiec południowych. Chłopi szwabscy i hescy, wbrew swemu prusakożerstwu, idą ręka w rękę ze „Związkiem.“ Gdy w r. 1893 sześć okręgów katolickich przeszło do obozu agrarnego, w szeregach ultramontańskich powstał niemały popłoch. Zrozumiano wtedy, iż w „Związku“ powstał poważny rywal, którego lekcewa-

---

na nią oczyma ciekawemi i palcami pokazywały ją sobie: mówiąc: dziś, dziś, konajom babcia. Ale jak się baba wykaszlała, to zawsze mówiła do nich: dzie, dzie mi tam, robaki, do śmierci, zabacyła me śmierć moja.

Bartkowi tymczasem obrzydło borykanie się z dziurawemi butami. Cisnął niemi pod ławkę i zaczął się gniewać.

— Zebym woma na śmierć gotował, toby mi łzy buło. Ani tego obuj, ani ogarnii, ani nakarm—nicego nie nastarcys. Chodźta bose, moze was ta prędzy wydusi.

Usiadł przy stole.

— Nie dałabyś mi co zjeść, gospodyni? Moze nie wis, zem dziś nic jesce w gembie nie mioł?

Bartkowa wstała z przypiecka i podała mu kartofle. Wystraszona była, jak owca.

Bartek obierał kartofle, maczał w soli i zagryzał chlebem.

— Ale me karmis, niebojsie. Nakarmie ja cie, siroto, aze zdechnies, tak cie nakarmie. Zeby tak zuru, albo jaki zupy, abo cortu rogatego, abo co... zuci ci gajdów— i tylo. Ledwie nogami za sobom włóce.

— Cóz ci ona bandzie warzyło, synku? Mleka nimo, mąki nimo, cóz ci ugotuje?

— Waso gadanie, matulu, sie skomcyło. Siedźta se na piecu i keślajta. Majontku po wos nie wzionem, krów ani wołów nie odziedzicyłom, siedźta sobie cicho. Mozebyśta lepiej pomyślały, za co wos chować bande. Cekata na te śmierć, jak kania ddzu, cięglem: „Jezu, Jezusie, ześlij na mnie ostatniom godzine“ — a wszyćko na mojej głowie.

Chciała baba zapłakać, ale się zakaszlała.

— Dali dryś, ogłuchne — mówił Bartek. A ty zatracony, cego sie tam cepias półek? Garki chces potłuc? Zebyś sie tam na zawse uwiesił!

I zaczął okładać chłopaka.

Dzieci wrzeszczały, baba kaszlała bez przerwy.

— Na te chałupe ptak by nie usiodł — mówił Bartek.

— Cegóz sie ty dziecisków cepias, co ci winne, ze buty sie rozłazom?

— Suko, narobiłaś ich sobie i nalepiłaś, a teraz jesce za niemi ujadas! Wszyćkich wos poprzetromcom!

Podniósł but z pod ławy i zaczął nim bić kobietę. Wreszcie kożuszynę wdział na siebie i z chaty się wybierał.

— Niedoczekanie moje, zebym ja do ty chałupy wrócił — rzekł od proga.

— Idź, idź, nasłuchoj się o Hameryce, myślis, ze punde z dzieciokami na kraj świata? — mówiła kobieta na odchodnem.

* * *

Bartkowa paliła w piecu. Dymu była pełna chata i kobieta ciągle ocierała łzy. Oczy jej dym wygryzał.

Na piecu stękała baba.

— Zeby tak latko. Porozłaziłyby się na robote i nie gryzłyby sie na kupie. Słonecko by je po polu porozganiało het... Ale tera w chałupie piekło. Jezu, Jezu, nie trzymaj ty mnie dluzy na świecie. Widzis, ze mi nijako do zycia.

Dzieci biegały po izbie. Ale kiedy kto w sieni zastukał, uciekały na piec do baby. Twarze ich stawały się raptem zmęczone i przygnębione. Udawały spokój, bo lękały się, ażeby tatuś nie bili. Ale gdy do izby ojciec nie wchodził, to znowu z pieca złaziły i harcowały po ziemi.

Tak gołębie stadami zlatują na podwórze. A gdy chłop ruszy drzwiami chałupy, porzucają ziarno i przestraszone wzbijają się ku niebu.

Tłom. *Dr. W. Moraczewski.*

żyć nie wolno. Katolickie państwo w państwie obejmuje w Niemczech rozmaite sfery: inteligencyę hołdującą filozofii neomistycznej i społecznym zasadom słynnej encykliki robotniczej, robotników zwłaszcza kopalnianych okręgu westfalsko-reńskiego, zorganizowanych w związki zawodowe, rzemieślników i fabrykantów bawarskich, ale rdzeń centrum, podstawę jego siły bojowej stanowią chłopi, wzorowo zorganizowani przez działaczy centrum, przeważnie księży, w stowarzyszenia kredytowe typu Raifeisena. Chłopstwo to z dwu względów jest oporą potęgi ultramontańskiej. Naprzód ma ono tak mało wspólnego ze zdobyczami umysłowemi XIX wieku, iż chętnie potakuje reakcyjnemu programowi centrum. Pozbawione wszelkiej krytyki i samodzielności myślenia, pójdzie ono w ogień i wodę na każde skinienie swych dowódców, o ile ci nie przeoczą jego interesów materyalnych. Co zaś ważniejsza, centrum dzięki swym okręgom wiejskim rozporządza siłą wyborczą dwa razy większą, niż wypadałoby podług zasad sprawiedliwości. Podział na okręgi wyborcze został dokonany przed trzydziestu laty i pomimo że od tego czasu wieś połowę swej ludności odstąpiła miastu, stary podział zachował swą moc obowiązującą, pomimo protestów lewicy. Z chwilą, gdy bydło głosujące na wsi wymówi centrum swe posłuszeństwo, wołający o pomstę do nieba przywilej tego ostatniego zniknie, a potężne stronnictwo zmaleje odrazu do połowy. Kokietowanie agraryuszów i bratanie się z nimi jest dla centrum kwestyą życia. W ten sposób wyłonił się czarno-niebieski kartel polityczny, decydujący obecnie o losach społecznych Niemiec. Reakcya podnosi coraz odważniej głowę, a hasło: „Pardon wird nicht gegeben“ — staje się nicią przewodnią działalności rządowej i to zupełnie poważnie, nie jako frazes retoryczny, wypowiadany ze szklanicą w ręku, lecz jako idea odpowiadająca rozwojowi ery pobismarkowskiej.

H. F.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Jesień.

Stoję na samym ściegu świeżo obszytej pługiem podorywy. Już wszędzie ziemię otulono równo pikowanemi kołdrami: widzę chłopskie kołdrzyny z jakiejś zielonej, wypłowiałej parcianki. Gdzieniegdzie biała, zmięta fastryga leży w bruździe — to babie lato — według nauki: przędziwo miliona małych pajączków. Ale nauka pewno nie wie, na jaką to chorobę ziemia widocznie zapada. Rano dreszcze, o południowej godzinie jakieś dziwne poty obwisają w kroplach mętnych na samych końcach zwarzonych gorączką liści. Jeszcze niedawno jędrne, zielone muskuły drzew, dziś poorane szczerzą zczerniałe nerwy i żyły. Jesion płaczący dostał w nocy krwotoku: są ślady wyraźne skrzepłej rdzy na splotach. Brzoza puściła liście ogony po sobie — długie, zawieszone na białych kołkach. I akacyę ktoś krwią obryzgał: skrzepła w czerwone strączki... jedna z obnażonych gałęzi konwulsyjnie powykręcanymi palcami chwyta powietrze i drży...

Wieczorem paruje zewsząd chorobliwy pot i osiada na szybach. Patrzę przez okno z ogrzanego pokoju i zdaje mi się, że tam na dworze został zwalony chorobą jakiś drogi sercu memu olbrzym, który strasznie cierpi, ale nic nie mówi... Czasem tylko westchnie, a wówczas mam ochotę wpuścić go do pokoju, ale czuję zarazem, że i mnie coś pilnuje i nie daje wyjść z domu... Cierpienie zbyt wielkiego ciała mam tuż za ścianą, tak iż przyciągnęło do siebie wszystko, co jest we mnie z cierpienia i trzyma, trzyma i ubezwładnia. Starczy mi jeszcze sił do króciutkiego *largo* Chopina... więc gram te dwa wiersze, tę, jak twierdzą, rozmowę dwóch pokoleń: stare błogosławi młode na drogę, młode zadaje jakieś pytania, na które otrzymuje przychylne odpowiedzi, akordy utętniają drogę akordom, jedne niższe, drugie wyższe, to starzy i młodzi. Potem zaczynają znowu radzić starzy, ale ci starzy, którzy się naprawdę spracowali. Każdej jesieni ich nieziszczone modły zbierają się w chmury nad cierpiącym kolosem i topnieją, siejąc łzawy deszcz...

Każde społeczeństwo ma w swem łonie istoty, dla których jesień jest hołdem za życie, trosk i poświęceń pełne. Oni, patrząc, jak ziemia do snu się układa, z ostatnią nadzieją w sercach modlą się, szepcząc: śpij, śpij, ty nieposłuszna, ty skołowaciała, ale i ty, stokroć spracowana i umęczona! Odpocznij! Niech ci się przyśnią w żywych kształtach, ruchach i słowach wszystkie nasze najserdeczniejsze nadzieje, najwznioślejsze plany! Niech je wchłoną we wszystkie swe tkanki korzenie drzew twoich i wszczepią je w zieleń każdego liścia. Niech je wypiją rurkami swej słomy zboża i chleb niemi przyprawią...

Tak człowiek wszelki, który czuje i myśli, rzuca jesienią swe ziarno naturze i tak mu życzy. *U.*

Co lepsze?

Kurator petersburskiego okręgu naukowego — jak donieśliśmy w poprzednim numerze — rozesłał do dyrektorów szkół średnich okólnik z poleceniem zapytania rodziców o zdanie: czy według nich byłoby lepszem, ażeby nauczyciele dawali uczniom jeden stopień przy końcu kwartału, czy też, ażeby zachowano dotychczasowy system. Pomimo że głosowanie nad tą sprawą może mieć wpływ praktyczny tylko w jednym okręgu, pisma rosyjskie wprowadziły ją na porządek dzienny swych rozważań nietylko z powodu niezwykłości trybunału, przed który została postawiona, ale też zapewnie w mniemaniu, że ona może być podniesiona w całem państwie. Z tego względu i my poświęcimy jej słów parę.

Nie przeczymy, że dawanie stopni za pojedyncze odpowiedzi, zależne od wielu przypadków, a nieraz decydujące o losie młodzieży, kryje w sobie wiele niepożądanych skutków, a nawet niebezpieczeństw. Nie są one zbyt groźne, jeśli uczeń zapytywany bywa często; ale gdy wywołany zostanie raz na kwartał i często skutkiem choroby, chwilowego zaniedbania się, czy też zmieszania nie umie lekcyi, może za to ciężko odpokutować. A jednakże wolimy ten system wraz z całem jego ryzykiem, niż nowoprojektowany. Naprzód bowiem uwiadamia on rodziców o stanie i biegu nauki szkolnej synów i pozwala wcześnie spieszyć im z pomocą w tych przedmiotach, w których okazali się niedbałymi lub słabymi. Powtóre, jeżeli nie całkiem usuwa, to zmniejsza samowolę w kwalifikowaniu uzdolnień i pracy uczniów. Między nauczycielami są ludzie sprawiedliwi, ale są także uprzedzeni, którzy w oznaczaniu stopni wyrażają nie tyle miarę wiedzy i pilności wychowańców, ile swojej dla nich sympatyi lub antypatyi. Dziś przy ocenie każdej odpowiedzi z osobna taka stronność jest skrępowana naocznym dowodem, podczas gdy przy określaniu ogólnem w końcu kwartału jej granice rozszerzyłyby się znacznie. Pozostałoby „osobiste uznanie,“ oparte na „wewnętrznem przekonaniu,“ wymykającem się z pod wszelkiej kontroli.

Oto dlaczego wolimy stary system.

Nakład i korzyść.

P. J. Żabykin w liście do nas — ogłoszonym nadto gdzieindziej — protestuje przeciwko uwagom naszym o Ogrodzie pomologicznym. Według autora, zakład ten jest bardzo użytecznym, gdyż: 1) daje pouczającą praktykę młodym ogrodnikom i 2) wydaje corocznie przeszło 7,000 drzewek dla urządzenia sadów przy szkołach początkowych ministeryum oświaty. Gdyby p. Ż. chciał nam dowieść użyteczności hodowli koni wyścigowych tem, że kilkudziesięciu chłopców nauczy się dobrze jeździć i kilkadziesiąt zwykłych klaczy urodzi źrebięta poprawnej rasy, odpowiedzielibyśmy mu, że ta korzyść nie odpowiada milionom rubli zmarnowanym na ów zbytek i jego popisy z totalizatorem. To samo stosuje się do Ogrodu pomologicznego. Że on coś daje — zgadzamy się: ale co on w zamian pochłania? Prosimy obliczyć, jakie kapitały tkwią w ogromnej przestrzeni drogiego placu miejskiego, jakie fundusze płyną corocznie na służbę, administracyę itd.? Za to wszystko — praktyka garści młodych ogrodników, którzy mogliby się tego samego nauczyć w zakładach prywatnych, i kilka tysięcy drzewek dla szkółek, które możnaby nabyć za $1\frac{1}{2}$ tysiąca rubli. Czy ta gra warta świecy? Jedynie mogłaby zrównoważyć tę ogromną ofiarę ścisła i ciągła praca naukowa w obserwowaniu i przyswajaniu odmian owocowych oraz systematyczne ogłaszanie jej wyników — czego właśnie Ogród pomologiczny nie robi. Posiada on kilka tysięcy gatunków drzew — a czy kiedykolwiek przedstawił publicznie swoje spostrzeżenia i doświadczenia chociażby o jednem? On najbardziej jest powołany do ułożenia normalnego doboru odmian i on w tej sprawie wcale się nie odzywa. Zaiste, dziwny to ogród pomologiczny, utrzymywany kosztem publicznym.

Dosyć.

Z miłem zdziwieniem przekonaliśmy się, że w tym dzikim sabacie, który przez pewien czas odbywano pod wezwaniem Przybyszewskiego, on sam mniej był winien, niż jego czciciele. W ogłoszonym bowiem liście, w którym wypiera się współredaktorstwa *Chimery* (Z. Przesmyckiego) powiada słusznie: „Koledzy moi mają już dosyć tej „szkoły krakowskiej,“ którą ja wrzekomo wytworzyłem.“ Każdy wyraz tej uwagi jest złotą prawdą. Oj, dosyć, dosyć *psychopatyi sexualis* przebranej za muzę, za naczelną muzę Olimpu; dosyć filozoficznych zboczeń popędu płciowego; dosyć wynaturzonej zmysłowości, trącającej w struny harfy eolskiej; dosyć odoru padliny perfumowanej paczulą frazeologiczną; tego wszystkiego strasznie już dosyć! Nie dla zgorzkniałych emigrantów ze szkoły, odkrywających nowe światy sztuki i nowe źródła natchnień tam, gdzie im regulamin zaglądać nie pozwolił; nie dla czarodziejów, wyprowadzających ze wsi szczury a przekonanych, że idą na czele wojsk zdobywczych; nie dla lubieżnych kuplecistów, którym się zdaje, że są Tyrteuszami, ale dla wszystkich zdrowych serc i mózgów, które nie widzą mądrości w rozkiełznaniu zmysłów i zadowolenia w ich szaleństwie — dosyć!

Nasze stowarzyszenia spożywcze.

Jestem członkiem stowarzyszenia spożywczego „Merkury.“ W początkach września zwróciłem się do jednego z jego sklepów, w których zawsze biorę towar, o ile naturalnie na to zezwala dobroć produktu, z zapytaniem, czy nie mogę otrzymać węgla. Odpowiedziano mi, że „zapisy są zamknięte“ na razie. Po pewnym czasie zwróciłem się po raz drugi. Udzielono mi

odpowiedzi, iż będę zawiadomiony o przybyciu węgla. Czekam na zawiadomienie już drugi miesiąc. Fakt ten świadczy o jednem—o naszej nieumiejętności zrzeszania swoich wysiłków. Drożyzna węgla, która obecnie zapanowała na przestrzeni całej Europy, w Niemczech, Belgii i Anglii wywołała wśród spożywców silne parcie w kierunku kooperacyjnym. Glasgowska rada municypalna wydelegowała 500,000 funtów sterlingów na kupno własnej kopalni, obejmując w ten sposób kierownictwo w wydobywaniu i sprzedaży tego tak ważnego produktu dla swoich mieszkańców. Niemieckie związki rolnicze, korzystając z drożyzny, rozwinęły gorączkową działalność, żeby wzmocnić swe istnienie i dostarczanemi korzyściami przyciągnąć nowych członków. U nas jakoś inaczej, inaczej... „Merkury" w osobie swoich kierowników utyskuje ciągle na obojętność naszego społeczeństwa dla idei kooperacyjnej. Zapomina jednak, iż sam istnieje dla odbiorców, nie zaś oni dla niego. Wśród dzisiejszej drożyzny węgla miał on wielką sposobność wzmocnić swój byt, podejmując się pośrednictwa pomiędzy spożywcami a kopalniami. Jeśli Towarzystwo literackie odważyło się na próbę zakupna węgli dla swoich członków, tembardziej powinno to zrobić Towarzystwo spożywcze, którego taka działalność jest jedynem zadaniem. „Merkury" w r. 1894 posiadał, według tabeli p. Makowieckiego, przeszło dwa tysiące członków. Przypuśćmy, iż każdy z nich zużywa przeciętnie w porze jesiennej i zimowej 20—30 korcy — cyfra raczej za niska, niż zbyt wysoka, to w sumie swej warszawskie stowarzyszenie spożywcze przedstawiałoby olbrzymie zapotrzebowanie 40—60 tysięcy korcy. Mając zapewnioną tak znaczną liczbę spożywców, którą można było jeszcze zabezpieczyć za pomocą podpisów, „Merkury" był w stanie rozwinąć pożyteczną działalność, wzmocnić swoje fundusze, a co najważniejsze — pozyskać ufność spożywców zrzeszonych, tak nadwątloną przez ślamazarność zarządu, którego członkowie, jak pospolici synekurzyści, nie troszczyli się wcale o dobro powierzonej im instytucyi. Moje doświadczenie wykazało, jak mało zajął się „Merkury" zorganizowaniem sprzedaży węgli. Kiedy więc zagranicą kooperacya, dzięki drożyźnie węgla, przyciągnęła do siebie nowe a oporne żywioły i skorzystała z okazyi, ażeby zapewnić zwycięztwo idei kooperacyjnej, u nas cicho było, głucho było... Czemu to przypisać?

U steru zrzeszenia niema ludzi idei, a ogół zrzeszonych zwątpił o samej instytucyi, nie odnosząc korzyści z jej istnienia, i pozwolił nieodpowiednio uzdolnionym osobom narazić ją na szwank i upadek.

Odczyty.

W ciągu ubiegłych trzech tygodni w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa odbyła się nowa serya odczytów popularno-naukowych z dziedziny biologii. Nie będziemy streszczać tych wykładów, pragnęlibyśmy tylko zwrócić uwagę, iż tak zwane *odczyty* powinny zerwać wszelki stosunek z własną etymologią. Pojmujemy autora, który odczytuje na mównicy studyum krytyczne albo utwór literacki — ale dziwnie trochę wygląda popularyzator wiedzy przyrodniczej, pouczający tłumy z zapisanych świstków. Zresztą pod tym względem — jak i pod każdym innym — przyrodnicy nasi mają bardzo bliski i bardzo piękny wzór w prof. Znatowiczu, którego odczyty są prawdziwem arcydziełem wykładu. Ostatnia serya prócz nazwisk dobrze zasłużonych (Znatowicz, Nusbaum, Fabian) wysunęła na widownię kilka zupełnie młodych sił przyrodniczych: debiuty bardzo pomyślne — a odczyt p. Czerwińskiego zdumiewał *talentem* obrobienia i bogactwem treści (najnowsze doświadczenia w dziedzinie ruchu amebowatego). Gdybyż się pozbył tylko błędów językowych w rodzaju: widziemy, słyszemy, bierzemy *tego wymoczka* — i wielu innych. *s.*

BADANIA NAUKOWE.

Z literatury ekonomicznej OSTATNIEGO DZIESIĘCIOLECIA.

Podręczniki i encyklopedye.

II.

W r. 1882 wyszedł z pod prasy dwutomowy podręcznik ekonomii politycznej, wydany pod redakcyą Schönberga. Jest to pierwsza próba zsyntetyzowania wiedzy ekonomicznej dla użytku kształcącej się w tej dziedzinie nauki młodzieży. Podręcznik Schönberga w przeciwieństwie do wszelkich podręczników ekonomii politycznej, nie ma na celu podać jednolitego systematu gospodarki narodowej, ujmującego całokształt zjawisk ekonomicznych w ciągły łańcuch twierdzeń, praw i pojęć, ściśle się z sobą wiążących węzłami logicznymi, sprowadzającego objaśnienie przyczynowe wszelkich, w dziedzinie gospodarstwa narodowego dających się zauważyć prawidłowości do jednej naczelnej zasady, lecz pragnie przedstawić poprostu możliwie wierny i ścisły obraz obecnego stanu badań ekonomicznych. Środkiem ku temu miało być poruczenie opracowania poszczególnych działów podręcznika różnym pisarzom, pracującym specyalnie nad kwestyami danemi. W ten sposób powstał podręcznik zbiorowy, składający się z monografij, napisanych przez Schönberga (ogólne uwagi o gospodarstwie narodowem), Neumanna (zasadnicze pojęcia ekonomii politycznej), Wagnera (kredyt i istota banków), Saxa (środki transportowe i komunikacyjne), Lexisa (spożycie i handel), Nassego (waluta), Rumelina (nauka o zaludnieniu) itd. Każda poszczególna kwestya została opracowana naprawdę przez najlepszego lub przynajmniej jednego z najlepszych specyalistów. Pomimo tego trudno przewidzieć, aby cel pracy tej został osiągnięty. Mimo usiłowań redakcyi, by nadać dziełu pewną jednolitość całokształtu, podręcznik Schönberga jest *de facto* tylko zbiorem monografij nie pozostających z sobą w żadnym związku organicznym, nieraz nawet wzajemnie sobie przeczących. Dalsze poprawki i dopełnienia, przeprowadzone w następnych trzech wydaniach, w ciągu których przybył jeden tom jeszcze (wydanie czwarte tomu I-go w r. 1896, wydanie czwarte tomu II-go części pierwszej w r. 1896, drugiej w r. 1897; wydanie czwarte tomu III-go w r. 1897 i 1898) nieco w tym względzie pomogły. Błąd bowiem leżał nie w wykonaniu powziętego planu, lecz w samym planie dzieła.

Zapewne, dziś, gdy ekonomia polityczna niemal że nie posiada jeszcze prawd ściśle ustalonych, gdy walczą z sobą najprzeróżniejsze kierunki teoretyczne, a żaden z nich nie jest w stanie odnieść stanowczego nad innemi zwycięztwa, nie sposób młodzieży studyującej podawać jeden jakiś wyłącznie kierunek za bezwzględną prawdę. Każdy uczony dąży i dążyć musi do wytworzenia sobie systematu, któryby sobą objął całokształt życia gospodarczego i albo przyznając się do któregokolwiek z istniejących już systematów, stara się go tylko głębiej ugruntować, nowe ku poparciu go zdobyć fakty i argumenty, albo też, jeśli z żadnego dotychczas systemów nie jest zadowolony — budować swój własny system. I nawet ci, co jak Schmoller, długi czas z zasady zarzekają się tworzenia wszelkich systematów, odmawiając prawa bytu teoryi, negując możność utrwalenia jakichkolwiebądź całych praw ekonomicznych — niemniej przeto przy schyłku wieku czują potrzebę wypowiedzenia publicznie całego swego *credo* naukowego. Bo i naprawdę, o ile szczegółowym badaniom naszym nad pojedyńczemi zjawiskami i instytucyami społeczno-gospodarczemi nie prześwieca jakiś pogląd ogólny na całokształt życia ekonomicznego narodów, o tyle badania te pozostaną bezskutecznemi. Największe nawet nagromadzenie faktów nie stanowi jeszcze nauki. Ażeby je zrozumieć — należy je przyczynowo wyjaśnić. A jakże możemy to uczynić, jeśli odrzucimy wszelką ogólną teoryę, wszelki ogólny pogląd na istotę i związek wzajemny zjawisk ekonomicznych, pozbędziemy się tem samem drogowskazu, wskazującego nam, w jakim kierunku po objaśnienie zjawisk tych udać się mamy.

Tak więc systematy w ekonomii politycznej są również niezbędne, jak i w każdej innej nauce. Lecz ponieważ w nauce tej niema po dziśdzień takiego systematu, któryby w swych najgłówniejszych choćby tylko podstawach zdobył ogólne uznanie, wolno tedy pisać systemy ekonomii politycznej jedynie dla publiczności fachowej, poddając pod jej sąd taką lub inną próbę rozwiązania zagadnień o istocie i budowie gospodarstwa narodowego; w żadnym jednak razie nie wolno tego lub innego systemu podawać uczącym się dopiero w formie podręcznika, jako wykład pewnych, sprawdzonych całkowicie prawd ekonomicznych.

Wszelakoż właśnie dlatego, że bez ogólnego poglądu na życie ekonomiczne żaden badacz w tej dziedzinie obyć się nie może, oraz dlatego, że niema dziś w ekonomii politycznej ani jednej ważniejszej kwestyi, co do której każdy z istniejących kierunków teoretycznych swego odrębnego tłomaczenia by nie dawał, zbiorowe podręczniki w rodzaju Schönbergowskiego chybiają celu. Zamiast bowiem zapoznać czytelnika ze wszystkiem tem, co w danej chwili zostało dokonane w nauce ekonomicznej, dają mu one szereg monografij, z których każda przedstawia daną poszczególną kwestyę, jako ostatecznie rozwiązaną i to w duchu wyznawanego przez autora kierunku, chociaż ten sam kierunek w reszcie monografij uznanym jest za fałszywy lub jednostronny. W takich warunkach w głowie uczącego się musi powstać jak najzupełniejszy chaos. Widzi on cały szereg nierozwiązań pojedyńczych zagadnień, gdy wszakże spróbuje połączyć je w jakiś całokształt — dojdzie do sprzecznych i wykluczających się nawzajem rezultatów. Pozostaje mu tedy albo wyrzec się chęci do wszelkich uogólnień, do wszelkich prób w kierunku zrozumienia całokształtu życia narodowo-gospodarczego i oddać się mniej lub więcej bezcelowemu i bezkrytycznemu zbieraniu drobnych faktów i faktcików, albo, co gorsza, wyrobi w sobie ten szkodliwy eklektyzm, polegający na wyciąganiu z różnych autorów, szkół i kierunków poszczególnych twierdzeń i na mechanicznem ich szeregowaniu.

Aczkolwiek od współudziału w opracowaniu podręcznika Schönberga usunięci zostali krańcowi przeciwnicy szkoły historycznej, do której sam Schönberg się zalicza, aczkolwiek nie widzimy tam prac Mengera, Dietzla, ani któregokolwiek z socyalistów, to jednak podręcznik ten zawiera w sobie tyle sprzecznych a przynajmniej rozbieżnych kierunków — dość

wspomnieć imiona Wagnera [1]), Schönberga [2]), Neumanna [3]) — że pomimo rozgłosu, jakim się cieszy, wypada go uznać za szkodliwy raczej, niż pożyteczny. Nie sądzę, by był odpowiedni dla studyującej młodzieży. Polecać go chyba można tym, co są już z nauką ekonomii dobrze obeznani, ale ci nie potrzebują z urywków zapoznawać się z panującymi dziś kierunkami. Podręcznik Schönberga można śmiało z zalecanej uczniom bibliografii bez szkody wykreślić.

Drugą z kolei i, jak dotychczas, ostatnią próbą stworzenia wielkiego zbiorowego podręcznika ekonomii politycznej jest *Hand- und Lehrbuch der Staatswissenschaften*, wydawany przez Frankensteina od r. 1893. Podręcznik ten miał się składać z 25—30 tomów, z których każdy miał być napisany przez innego autora i stanowić sam w sobie zamkniętą całość. Podręcznik zaś miał na celu ujęcie ogółu nauk państwowych, względnie ekonomicznych w jednolity, harmonijny obraz. Dotychczas ukazały się: Lehra „Grundbegriffe und Grundlagen der Volkswirtschaft,“ Kleinwächtera „Das Einkomen und seine Vertheilung,“ Fircksa „Bevolkerungslehre und Bevölkerungspolitik,“ Frankensteina „Der Arbeiterschutz.“ Schwappacha — „Farstpolitik, Jagd- und Fischereipolitik,“ Steppan u. Schmied „Der Schutz der gewerblichen Urheberrechts,“ Vockego — „Grundzüge der Finanzwissenschaft,“ Haeckla „Das Budget,“ Schafflego „Die Steuern,“ Bramera „Das Versicherungswesen“ i Petersilie'go „Das öffentliche Unterrichtswesen in deutschen Reich und in den übrigen europäischen Kulturländern.“

Niestety, i ta próba całkowicie się nie udała. Wydawane przez Frankensteina dzieła nie stanowią żadnej całości harmonijnej i to tak daleco, że nawet w handlu księgarskim figurują jako oddzielne zupełnie książki. Zresztą wydawane są one bez żadnego porządku logicznego. Mamy dziś całą już niemal naukę finansów, część małą polityki ekonomicznej, urywek z polityki administracyjnej, a obok tego z ekonomii teoretycznej — jedynie zasadnicze jej pojęcia i naukę o dochodzie, przyczem stanowisko, przez Lehra zajęto, jest wręcz sprzeczne ze stanowiskiem, z którego Kleinwächter traktuje kwestye teoretyczne. Gdy pierwszy jest zdecydowanym wyznawcą metody ścisłej, psychologicznej, i od „szkoły wiedeńskiej“ różni się tylko dalej idącem zamiłowaniem do formuł matematycznych, drugi jest przedewszystkiem praktykiem, mało interesującym się kwestyami metodologicznemi; gdy pierwszy stara się dotrzeć wszędzie do zrozumienia istoty samej zjawisk narodowo-gospodarczych i w tem widzi główne zadanie nauki ekonomicznej, drugi kładzie przedewszystkiem nacisk na dokładne zbadanie konkretnych formuł życia ekonomicznego.

Jeżeli podręcznik Frankensteina nie jest dziełem jednolitem, to jednak ma tę wyższość nad Schönbergowskim, że każdy jego tom sam w sobie jest całością skończoną. Ten ostatni jest, jako podręcznik, wadliwy, może bowiem ucznia skierować na złą drogę. Wydawnictwo zaś Frankensteina jest poprostu zbiorem podręczników — na ogół dobrych, z których każdy dotyczy jakiejś poszczególnej części wiedzy ekonomicznej; a z pośród nich wyróżnia się praca Lehra nad zasadniczemi pojęciami ekonomii politycznej, która zapełnia ważną lukę w literaturze ekonomicznej. Jest to jedyny dotychczas i znakomicie napisany systemat podstaw ekonomii teoretycznej ze stanowiska metody matematyczno-psychologicznej.

Dr. Stanisław Grabski.

Fr. Max Müller.

(ur. 1823).

Niemiec z pochodzenia, pracował w Anglii. Jako młodzieniec dwudziestoparoletni, zwrócił na siebie uwagę swoją znajomością sanskrytu. Z całą energią i pracowitością, któremi odznaczał się, jął się tłomaczenia Rigwedy, a ponieważ tylko Anglia mogła zdobyć się na wydanie tego pomnikowego przekładu, udał się do Londynu i zwolna wsiąknął w społeczeństwo, które dało mu możność pracy naukowej, oraz niebawem ofiarowało katedrę w Oksfordzie zaledwie trzydziestoletniemu badaczowi. Przekład Rigwedy ukazał się w sześciu olbrzymich tomach w okresie lat 1849—1875. W r. 1879 przystąpił do redagowania wydawnictwa „Świętych ksiąg Wschodu“ (pierwsza serya w 24 tomach wyszła w ciągu lat 1879—1885, druga w latach 1886—1895, trzecia jest nieukończona). Zresztą Fr. Max Müller bardziej jest znany szerszej publiczności jako pracownik na niwie filologii porównawczej i mitologii. Dzieło jego „Lectures on the science of language“ doczekało się przekładu na nasz język. W mitologii Max Müller był rzecznikiem pojmowania mitów, jako zamaskowanych opowiadań o zjawiskach kosmicznych: przenośne nazwy zorzy, zmierzchu, słońca poszły w niepamięć i zjawiska zostały upostaciowane w bogach i bohaterach. Z dziwną uporczywością zmarły trzymał się tych poglądów pomimo faktów, przeczących jego uogólnieniom. Czynił wrażenie, jakoby nie pojmował przełomu, który nastąpił w mitologii. Wielki szeregowiec postępu naukowego w młodości, ku schyłkowi lat stałby się poważną zawadą na jego drodze, gdyby rozwój nie obszedł go i nie pozostawił starca w samotności. Nie brakło jednak, nawet w ostatnich latach, ostrej wymiany zdań: dość będzie wskazać na pracę Andrew Langa: „Modern Mythology,“ wymierzonej przeciw Fr. Max Müllerowi. Na zakończenie dodamy, iż będąc znakomitym uczonym, był zarazem człowiekiem wielkiego serca. Rząd niemiecki, założywszy w r. 1862 uniwersytet w Strasburgu, ofiarował zmarłemu jedną z katedr. Przyjął upominek, ale niebawem porzucił — nie mógł wytrzymać w dusznej, policyjnej atmosferze tamtejszej.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Marion: *Miraże*. Powieść. 1900.

Proszę sobie wyobrazić malutką książeczkę, zwaną kinematografem: każda kartka takiej książeczki jest migawkowem zdjęciem fotograficznem w pewnym określonym ruchu, zdjęcia zaś mają kolejność pewnej wykonywanej czynności. Ponieważ wrażenie wzrokowe na siatkówce nie znika natychmiast, lecz trwa około siódmej części sekundy, więc wrażenie, powtarzające się częściej, aniżeli siedem razy na sekundę — będzie się wydawało ciągłem. Czyli: przewracając nader szybko kartki książeczki, otrzymujemy postać ludzką *w ruchu*; jeżeli natomiast odchylać będziemy kartki powoli i wpatrywać się w każdą z osobna—otrzymamy szereg scen poszczególnych, z których żadna nie ma określonej treści i znaczenia.

Nie wiem, czy się tłomaczę jasno: „Miraże“ są książką, której kartek nie można odwracać powoli i wpatrywać się w szczegóły: trzeba ją przeczytać jednym ciągiem — inaczej przejdzie bez wrażenia. Jest to opis kilku lat życia, widzianego z jakiegoś bardzo oddalonego punktu w czasie i w przestrzeni. Kiedyś musiało to być wszystko żywe i wyraziste, lecz w miarę, jak czas upływał, ścierały się ostre kanty wspomnień i w końcu wszystko, co stanowi samo malowidło, natężenie barw i kontury pejzażu, zostało powleczone jakby mgłą. Dobrze jest czasem spojrzeć na życie z takiego oddalenia.

Jesteśmy w małem miasteczku na prowincyi. Inteligencya miasteczka — to doktór Bronicz z potomstwem: Kaziem i Zosią, staruszkowie Gwoździccy z wnuczką Tunią-sierotą, oraz kilku urzędników cukrowni, między innymi Wyszyński z córką Jadwinią. Trzy panny: Jadwinia, Tunia i Zosia dławią się monotonnem, wegetacyjnem życiem prowincyi. Bohaterką powieści jest Tunia. Któż to jest? Ma wielkie, tajemnicze oczy, oczy dojrzałej kobiety. Ma wielki talent muzyczny — jak zapewnia autor. Życie rozpala w niej całą orgię tęsknot i pragnień. Jest młoda, ma prawo do życia, chce żyć! Przy całym entuzyazmie młodości ma w sobie jednak chochlika chłodnej analizy. Widzimy nieskończone wzloty i upadki jej wiary w świat i w siebie, niezliczone przypływy i odpływy energii i siły woli. Przemogła opór dziadków i jedzie do Warszawy kształcić się w muzyce. Wpada odrazu w sam wir życia młodzieży, studentów, panien emancypowanych, kół, kółeczek, przedstawień, koncertów, „kręciółek,“ posiedzeń, komitetów, podkomitetów, sekcyj. Jest odurzona. Młoda dusza z przedziwną rozkoszą wydobywa się z pod „zmurszałych ruin,“ strząsa z siebie „setki autorytetów,“ którymi ją przytłaczano. Uczuwa w sobie naraz ogromną moc miłości: chciałaby wejść w środek każdej grupy ludzkiej, być „żywą jej cząstką,“ czuć z nią razem, przejść przez życie ze wszystkimi razem i z każdym z osobna — „zstokrotnić się.“ Lecz wkrótce przekonywa się, że *to* nie da jej szczęścia. Widocznie należy do pokolenia skazanego na „wieczną tęsknotę.“ Ma talent i niepospolitą urodę: jest przedmiotem westchnień wielu, lecz pozostaje zimna. Co za drewno, ze mnie — myśli — i czuje „zamiast dumy coś nakształt złości.“ Ktoś w powieści określa ją: lubi bawić się duszami; lubi wyzyskiwać cudze uczucie. Gdyby wiedziała, że ją ktoś kocha, nie darowałaby ani jednego przemilczanego słowa, wycisnęłaby z niego ostatnią kroplę uczucia. I jej samej wynurzają się z pamięci „szkielety, przelotne uniesienia, dni odarte z czaru“— i ci *wyzyskiwani*, którym odebrała wszystko, nie dając wzamian nic. Lecz oto zjawia się na scenie nowy miraż, najpiękniejszy z pięknych: sztuka — „mroczna i surowa świątynia gotycka, której gmach wydłuża się w nieskończoność,“ kult piękna, które, jak Bóg, nie ma twarzy, ale jest. A nad świątynią krąży ptak srebrnoskrzydły — sława. I jeszcze przychodzi miłość—śmierć miłości, nowe krwawienie duszy, a potem jeden, jedyny okrzyk: odpocząć, wygoić duszę ze wszystkich okaleczeń i zapomnieć! Na całe życie patrzy, „jakby z ogromnej wieży,“ dosięga punktu, z którego

[1]) Wagner skłania się w teoretycznych swych poglądach raczej ku klasycznej, niż historycznej szkole. Uznaje on zmienność zjawisk narodowo-gospodarczych, lecz po za zmienną ich formą przejawową szuka niezmiennej treści, wynikającej z istoty psychiki narodów i człowieka.

[2]) Schonberg jest wyraźnym zwolennikiem nowszej szkoły historycznej, uznającej wyłącznie niemal indukcyjne, monograficzne badania.

[3]) Neumann idzie drogą utartą przez starszą szkołę historyczną, specyalnie przez Roschera. Logiczna analiza pojęć ekonomii politycznej stanowi dlań główną treść teoryi, stanowiącej tylko wstęp do ekonomii praktycznej.

spogląda się na świat z bezmiernym spokojem, pobłażaniem i pogardą. W końcu wychodzi za mąż za człowieka, którego zupełnie nie kocha, ale do którego prawdopodobnie się przyzwyczai.

Taką jest Tunia. Nie mogę w podobny sposób przerysować innych postaci z tłumu, zaludniającego „Miraże.“ Chciałbym tylko zwrócić uwagę na Zosię Broniczówną i Jadwinię Wyszyńską. Szczególnie na Jadwinię. Trzeba mieć talent, ażeby tak naszkicować sylwetkę dziewczyny nerwowej, jej temperament, umęczony wybujałą i przedwczesną potrzebą kochania, jej dumę i zaciętość, jej szały i upojenia, chwytanie się lada płomyka w mniemaniu, że to słońce, jej walki z nędzą domową i brutalnością ojca. Scena widzenia się z matką (prostytutką) należy do takich, które trudno strząsnąć z pamięci. Ten trójlistek dusz kobiecych jest najmocniejszą stroną powieści. To nie są bynajmniej typy, to nie jest synteza artystyczna w szerszem tego słowa znaczeniu. Jest to raczej ciąg dalszy pracy twórczej, zróżniczkowanie pysznego kwiatu wolnej duszy kobiecej, który tak tryumfalnie wprowadziły do literatury „Fermenty“ i „W sieci.“

Natomiast wyprowadzone równolegle trzy postacie męzkie: Kazio, Bronicz, Witold Drwęcki i Piszczel—są zupełnie papierowe. Całe środowisko młodzieży, w którem oni rej wiodą, świat literatów i artystów — nabrały w oświetleniu autora konturów mimowolnej, lekkiej karykatury... Trzeba dojść do wniosku: albo opis jest prawdziwy i wtenczas cała ta młodzież rozkrzyczana niewiele jest warta, albo (co bliższem jest prawdy) obraz jest fałszywy, i, jako taki, niewiele jest wart. Niektóre z tych krzyczących cieni rysowane są ze szczególną życzliwością. Pomimo wszelkich jednak usiłowań, z Drwęckiego nie udało się autorowi wykroić bohatera. Niektóre jego perypetye: poznanie Tuni i nagły wybuch miłości, jednoczesne spotkanie z Mańką i cały stosunek z nią, naiwna scena z aktorką Elwirą, spotkanie ze złodziejami na Powiślu itd., przenoszą nas w arkadyjskie sfery melodramatu. Obok tych epizodów chybionych mamy rzecz świetną, jak opis bachanalii artystycznej, jak niektóre opisy. Zbywa tu jednak zupełnie na perspektywie artystycznej, jest jakieś krótkowidztwo twórcze, brak panowania nad przedmiotem, poddanie mu się zupełne. Zresztą może to wina tematu, a raczej stosunku samego autora do tematu. Mam wrażenie, jakoby wiele, wiele rzeczy opisanych w „Mirażach“ było autorowi niezmiernie blizkich i tak pokrewnych, że nie mogłyby wcale stać się przedmiotem świadomej siebie twórczości. Tu psychologia nie przerysowuje wprost ze wzorów; autor, nie mówiąc wprost o sobie, a nawet wypierając się współdziałania w utworze, jest jednak wszędzie obecny, wypełniając go liryką własnych uczuć i podstawiając tu i owdzie własne stany psychiczne.

Od tej „liryki uczuć“ jeden krok jeszcze do tego, co jest zasadniczą cechą utworu. Proszę posłuchać wierszy Tuni:

O, dobrze temu, kto na głębiach tonie —
Fala hymn wielki zagra mu przy zgonie...
. . . .
Lecz biada temu, komu na mieliźnie
Z trwogą idąca stopa się pośliźnie..

„I skona, mając usta pełne błota...“ „Niech piję gorycz, lecz niech z morza piję...“ To już katechizm romantyzmu — w nowem wydaniu. Żądza czegoś nadnaturalnie wielkiego, ubóstwienie życia uczuciowego, grające we krwi porywy średniowieczne. I choćby całkiem jałowe miały być te szarpania się i wzloty, pochylimy czoła przed tą męką duszy dzisiejszej.

Władysław Sterling.

LITERATURA WŁOSKA.

Giovanni Verga: *Don Gesualdo.*

Jest to druga część obiecanej przez Vergę trylogii p.t. „Zwyciężonych.“ O pierwszej („Rodzina Malavogliów“) pisaliśmy w swoim czasie. Autor ma na celu przedstawić w sposób przyrodniczy, jeżeli tak rzec można, proces zanikania jednostek i warstw społecznych, skazanych na zagładę wskutek nieprzystosowania się do warunków otoczenia.

Zadanie to wykonał po mistrzowsku w „Malavogliach“ — względem chłopstwa, gdzie miał do czynienia z potrzebami najprostszemi: nasycenia głodu i zaspokojenia popędu płciowego. Już i w tej sferze jednak dostrzega autor niejasną żądzę rzeczy nieznanych, która zresztą spełza na niczem, sprowadzając tylko na rodzinę dotychczas szczęśliwą wstrząśnienia i nędzę.

W „Don Gesualdo“ autor przenosi nas o stopień wyżej na szczeblach drabiny społecznej. Tu mamy do czynienia ze szczęśliwym dorobkiewiczem, który wyszedł z chłopstwa i pnie się do bogatego mieszczaństwa, a nawet do arystokracyi. Jest jednak zupełnie nieprzystosowany do nowego środowiska, to też pomimo usilnej i upartej walki — ginie. Tu troska o chleb powszedni zanika, pod wpływem dobrobytu rozwija się próżność i ambicya, potrzeby się wydelikacają, a intryga komplikuje.

Don Gesualdo cieszy się oczywiście sympatyą autora: w takich chłopach spoczywa przyszłość Włoch. Własnemi siłami bohater dorobił się wielkiego majątku. A ileż to kamieni dźwigał na swym grzbiecie, zanim zdołał wybudować dom własny! Ileż to dni spędził o suchym chlebie! Widział się małym chłopcem, mieszającym wapno u swego ojca, albo też poganiającym muły. I przy tem wszystkiem maestro Nunzio, ojciec bohatera, nie szczędził mu razów. Później, gdy wuj chciał go pomieścić jako pomocnika murarskiego, ojciec nie zgodził się, albowiem uwłaczało to jego godności — oddać syna pod cudze rozkazy. Przez lat siedem pozostawał na posługach u ojca, aż wreszcie podrósł i zaczął brać pracę na własną rękę. A później, gdy zaczął spekulować na domach, ileż to było kłótni! Nunzio mawiał, iż to nie jest rzeczą murarza. Gdy zaś Gesualdo nabył pierwszą ziemię, Nunzio dawał mu jeszcze nietylko rady, ale rozkazy, aby dowieść, iż syn nie jest rozumniejszy od niego. Tymczasem matka umarła, powierzając opiece Gesualda brata Santa i siostrę Speranzę. Wszyscy oni żyli na jego koszt, musiał tedy zarabiać za wszystkich: pracował, jak wół. Spędzał często noce bez snu, rozmyślając. Nabył kilka majątków, ale kosztem ilu trosk i zachodów! Spekulował na domach, na ziemiach, zawsze w ruchu, zawsze na nogach. Sypiał często nie więcej nad dwie godziny, gdziekolwiek się udał, w stodole, w stajni, za płotem, podłożywszy kamień pod głowę. Zadawalał się nieraz kawałkiem czarnego chleba, gdy był w drodze, pod cieniem oliwki. Nie znał niedzieli, ani święta. Rodzina zabierała mu czas, pracę, pieniądze. Nigdy nie spędził godziny w karczmie, jak brat jego Santo. A gdy wracał do domu, spotykał twarz zgryźliwą Speranzy, skargi jej męża, płacz dzieci, wyrzuty bezustanne, jakby on był przyczyną ich nędzy. Wprawdzie miał pociechę — dziewczynę, którą kochał, i z nią trzech ładnych chłopców. Ale szatan ambicyi go opętał. Zebrawszy w pocie czoła dość znaczny majątek, chciał się ożenić z „panną z towarzystwa.“ Właśnie znalazła się córka podupadłej arystokratycznej rodziny, Bianka, którą kuzyn, baron Rubiera, uwiódł i porzucił w położeniu interesującem. Krewni jej i księża uknuli intrygę, opierając się na próżności don Gesualda, wydali zań Biankę, która wkrótce potem powiła córeczkę, nazwaną Izabelą. Nasz parweniusz tak jest zaślepiony, iż nie widzi, że padł ofiarą niecnego podstępu. Ponieważ jest z gruntu dobry, więc nie robi żonie żadnych wyrzutów, jakkolwiek krewni jej nawet na ślubie nie byli obecni i, oszukawszy go, odwrócili się odeń z pogardą.

Mała Izabela już w piątym roku życia oddaną została do klasztoru na naukę. Don Gesualdo teraz, gdy uważał się za równego największym panom miasta, chciał jej dać odpowiednie wychowanie, zwłaszcza iż nie mógł się spodziewać nowych potomków i cały jego majątek miał z czasem stać się jej posagiem. Tymczasem Bianka słabła coraz bardziej, zagrożona dziedziczną chorobą swej rodziny— suchotami. Była to prawdziwa kara boska w oczach don Gesualda, starał się jednak nie skarżyć, aby nie cieszyć swych wrogów. Małżeństwo nie dało mu nic: ani posagu, ani syna, ani podpory moralnej, ani nawet tego, co miewał dawniej — chwili dobrego humoru po pracy całodziennej. Żona mroziła go swą twarzą cierpiącą, oczami smutnemi i przestraszonemi: czuła nawet jakby odrazę fizyczną do niego. Don Gesualdo rozumiał, iż nie było to jej winą: to buntowała się krew rasy. Nie szczepi się brzoskwini na oliwce. Jego zdrowy, chłopski rozsądek nie pozwalał mu na żadne złudzenia. Miał także swą dumę, dumę uzasadnioną, że zdobył majątek własnemi rękami. Chciał być panem u siebie. I jeżeli Bóg go ukarał, dając mu córkę zamiast syna, chciał, by posiadała wszystko, czego jemu brakowało, by była damą w pełnem znaczeniu tego słowa. Bianka nie chciała rozstawać się z córeczką, lecz Gesualdo zrobił po swojemu. Zresztą i ona myślała, że to Bóg ją karze, nie dopuszczając, by ta mała zostawała w domu jej męża. Przyjęła to jako pokutę za swe grzechy.

W kilka lat potem w miasteczku wybuchła cholera. Don Gesualdo z rodziną i mnóstwem krewnych wyjechał na wieś, do swych majątków. Napróżno jednak błagał ojca, by mu towarzyszył: „Jadam palcami, mój chłopcze — odparł stary Nunzio— musiałbyś się rumienić za mnie przy stole. Jestem chłopem. Nie umiem żyć z panami... Nie, nie... Lepiej umrzeć od cholery, niż od rozlewu żółci. A wreszcie ja też lubię być panem u siebie.“ Do majątku don Gesualda zbiegła się połowa miasta, uciekając przed cholerą. Przyjmował i karmił wszystkich. Ale ten upór ojca, który nie chciał jego pomocy, zatruwał mu życie. Mówił o tem z żoną: „Ratujemy tyle osób, a własna nasza rodzina jest zdala od nas... Czyni to umyślnie, by mnie męczyć i wprawić w niepokój.“

Tymczasem Izabela powróciła z klasztoru jako dorosła panna na wydaniu, pełna pretensyj arystokratycznych, marzeń o zbytku i wielkości. Don Gesualdo wychowywał ją w najlepszych zakładach, razem z córkami hrabiów i książąt, które nie szczędziły jej przytyków gryzących z powodu pochodzenia jej ojca. Gdy don Gesualdo odwiedził ją w klasztorze, oglądała się za siebie w obawie, iż zobaczy spojrzenie złośliwe swych towarzyszek, które badały ręce jej ojca, ażeby się przekonać, czy rzeczywiście były pokryte wapnem. Była mu tak samo obcą, jak i jej matka. Czuł w niej tęż samą nieprzyjaźń, którą napotykał przez całe swe życie, tęż samą wojnę nieubłaganą, którą z innymi toczył. Był zbyt dumny, aby się skarżyć i wystawiać na pośmiewisko swych wrogów; przychodziło mu na myśl, że tak samo postępował ze swym ojcem. „Każdy podąża za swym interesem. Tak być musi“—wmawiał w siebie, a w sercu żywił żal głęboki.

Wszystko, co robił dla córki, czyniło mu ją coraz bardziej obcą.

Teraz, gdy powróciła do domu z głową przepełnioną romansami, zaczęła się oglądać za bohaterem, który mógłby urzeczywistnić jej książkowe wzory. Właśnie gości u nich młody krewny, la Gurna, biedny jak Hiob, ale dumny ze swego szlachectwa, ze swych poezyj, które zachwycały Izabelę.

Don Gesualdo krzywem okiem spoglądał na zaloty poetyckie. Nie chciał, by Izabela, młoda i niedoświadczona, nieumiejąca odróżnić ubóstwa od bogactwa, zaprzątała sobie głowę głupstwami. Był nieukiem, ale rozumiał, że to są „sposoby łowienia naiwnych.“ Nie podobały mu się miny wyniosłe La Gurny, któremi przypominał osoby, zamierzające drogo sprzedać swój towar; ani też długie spojrzenia Izabeli, jej uparte milczenie i mania samotności, gdy powinna była bawić się i weselić. Rozumiał jej minki naiwne, z jakiemi przychodziła szukać niby nożyczek, gdy tylko kuzyn się zjawił i chytrość młodego człowieka, który udawał, że jej nie spostrzega, podobny do chłopa, „chodzącego na targu dokoła kobyły, którą chce kupić, a na którą nie rzuci nawet spojrzeniem.“

W tym też duchu pouczał swą córkę: „Słuchaj, Izabelo, pomyśl trochę. Świat jest jaskinią złodziejów. Każdy chce tam urządzić swe interesy i zająć miejsce sąsiada. Gdybyś nie miała nic, niktby się o ciebie nie troszczył. Jest to targ, rozumiesz? Środek zapewnienia sobie chleba na całe życie. Ci, co są biedni, starają się jak mogą: ten sprzedaje swe imię, tamten wygłasza słodkie słówka lub rzuca tkliwe spojrzenia... Ale ten, kto ma zdrowy rozsądek, powinien pilnować swego dobra.“

Wszystkie te nauki poszły jednak w las. Izabela uciekła z kuzynem. Don Gesualdo, rozwścieczony, wydziedzicza córkę, która wskutek tego po pewnym czasie zmuszoną jest wrócić do domu. Trzeba jak najprędzej znaleźć jej męża. Zostaje nim zbankrutowany książę de Leyra. Napróżno córka płacze i błaga. Opanowany manią wielkości, Don Gesualdo wydaje ją za podstarzałego łowcę posagów, do którego w ten sposób przechodzi znaczna część jego bogactw. Parweniusz okazuje się głupim i zwyciężonym: całe życie pracuje na wyposażenie cudzego dziecka — córki barona Rubiery, a własne jego dzieci, od dawnej kochanki, znajdują się w ostatniej nędzy.

Tymczasem stary Nunzio umiera na cholerę. Brat don Gesualda, Santo i siostra Speranza, namówieni przez jego wrogów, wytaczają mu proces, by, ze względu na śmierć ojca, podzielił się z nimi swym majątkiem. Rozumie się, proces przegrywają i idą w świat z torbami.

Działo się to podczas ostatnich rozruchów sycylijskich. Lud się burzy przeciwko bogaczom, zwłaszcza przeciwko ludziom, którzy, jak don Gesualdo, wyszli z jego łona. Nasz bohater, chory od rozlewu żółci, musi uciekać z domu i ukrywać się u znajomych. Żona jego, Bianka, umiera na suchoty. Zgnębiony tem wszystkiem don Gesualdo wpada w chorobę poważną. Wówczas wracają z podróży jego zięć i córka i pod pozorem leczenia wywożą go do Palermo, tam go sekwestrują, nie dopuszczając nawet notaryusza, którego się domaga, gdyż w ostatniej chwili chciałby pozostawić cokolwiek swej dawnej kochance i jej synom. Umiera opuszczony przez wszystkich. Majątek zabiera książę Leyra i córka, która go nienawidzi, gdyż ją swym uporem unieszczęśliwił.

Jako utwór artystyczny, „Don Gesualdo“ stoi wyżej od „Rodziny Malavogliów“: więcej w nim życia i barw. Przepyszne są obrazy życia małomiejskiego, tylko, być może, autor, jak na pisarza naturalistę, niedość ukrywa swe intencye szydercze. Nie mamy mu tego jednak za złe, gdyż to ożywia opowiadanie: oderwać się prawie od książki nie można, tak jest żywą i dowcipną. Pomimo swego pesymizmu arystokratycznego, Verga nie ukrywa swej sympatyi dla don Gesualda,“ który jest samorodkiem pełnym talentu, zwyciężonym przez otoczenie. W ostatniej części swej trylogii autor przedstawi bogate mieszczaństwo i arystokracyę.

Dr. L. Winiarski.

WYSTAWA INAUGURACYJNA

w Salonie Krywulta.

Salon Krywulta, mieszczący się od lat dziewiętnastu w hotelu Europejskim, przeniesiony został do siedziby nowej, rozmiarami nie o wiele większej, niż poprzednia, lecz natomiast do celu swego daleko bardziej przystosowanej.

Dziewiętnaście lat pracy w jakiejkolwiek dziedzinie — to okres znaczny, który pozwala uczynić dość dokładnie jej bilans. Nie wszystko oczywiście można będzie zapisać na dobro rachunku p. Krywulta; nie zapominajmy jednak, że z konieczności w pracy swojej musiał się nieraz kierować względami, które mu ją utrudniały. Musimy pamiętać przedewszystkiem, że salon artystyczny (prywatny) jest to taki sam interes, jak każdy inny, a nie jest to już winą pana K., że gusty publiczności musiały zapewne nieraz ściągać go ze świątyń sztuki do jej kramów. Nieraz też interes brał górę nad wymaganiami piękna, może nawet interes źle zrozumiany, który kazał panu K. reklamować „wielkich rozmiarów“ lichoty, a zapominać o dziełach istotnie wartościowych. Jakkolwiekbądź było, nie możemy zapomnieć o tem, że jednak p. K. był u nas pierwszym i jedynym, który starał się — może nie zawsze umiejętnie i szczęśliwie — zapoznać publiczność naszą ze sztuką obcą, i który nigdy nie zamykał drzwi swego Salonu przed swojskiemi siłami młodemi i nie napęczniałemi jeszcze reklamą. I to jest jego zasługą.

* *

Powiedzmy otwarcie: wystawy, która dorównywałaby inauguracyjnej ilością i przeciętną wartością dzieł, w ostatnich przynajmniej latach, Warszawa jeszcze nie oglądała. Podobną jest ona do jakiegoś zagranicznego salonu dorocznego, ma jednakże tę wyższość, że w niej nadmiar lichoty nie zabija dzieł dobrych; ogólne więc wrażenie pozostawia bardzo dodatnie. Po raz pierwszy też u nas mamy oddział cały, wyłącznie poświęcony akwafortcie i litografii.

Gdyby wystawa ta była konkursem, palmę pierwszeństwa należałoby przyznać Malczewskiemu, Stanisławskiemu i Rapackiemu w malarstwie, Biegasowi— który zresztą nie ma rywali — w rzeźbie, i Pankiewiczowi w akwafortcie.

O zaletach rysunku Malczewskiego wiemy oddawna, a jednak, gdy stajemy przed jego „Portretem własnym,“ ta potęga rysunku, może nawet nieraz przesadnego, ta zdumiewająca znajomość linij i kształtu, siła wyrazu i charakterystyki olśniewa na nowo. Gdyby tym zaletom w równej mierze odpowiadał koloryt, mielibyśmy w Malczewskim, pod względem czysto malarskim, jednego z największych artystów współczesnych. Niestety, koloryt — to pięta achilesowa jego twórczości; w tym samym, przedziwnym zresztą portrecie, czoło rycerza wygląda, jak gdyby okryte szczelnie przylegającą brudną blonką. A szkoda, bo rycerz ten jest przepyszny; ogrom siły, ogrom wiary w swą sztukę i posłannictwo wyraża pochylona jego postać, silnie w dal utkwione oczy, ręka trzymająca kopię, dłoń przyciskająca na piersi krzyż. Stoi pochylony nad studnią zapleśniałą, z której tylko również zapleśniałe mózgi mądrość swoją czerpać mogą. On tym mózgom i tej mądrości wypowiedział walkę. Nie z tych mrocznych głębin, nie z tej pleśni wieków czerpie on, artysta, natchnienie swoje: za skrzydłami jego husarskiego pancerza którą pierś okrył, sama wieczyście młoda Natura wygrywa mu pieśni ustami swego fauna, a ten walką z życiem i jego kajdanami niestarany jeszcze starzec być może podszeptuje słowa pieśni: „walcz z życiem za wolność i życie!“ Nie wiem, czy taką myśl chciał artysta w „Portrecie własnym“ wypowiedzieć; komentarz powyższy streszcza tylko moje wrażenie osobiste. Wogóle kompozycye Malczewskiego nie zawsze są zrozumiałe i przejrzyste. Faun z piszczałką, starzec z kajdanami na dłoniach, kobieta potwór pół-tygrys ze skrzydłami, kobieta — anioł smutku stale powtarzają się na jego płótnach, jak np. i tu w „Glorii“ i „Mojej piosence“; nie zawsze rozumiem ich sens i symbolikę, ale *słyszę* zawsze, jak do mnie z tych płócien idzie jakiś zgrzyt sarkazmu, przeplatany jękiem szarpiącej się w bólu duszy. Dał jeszcze Malczewski „Madonnę“, którą przez smutne szare pola wiodą dwaj chłopcy wiejscy nadzwyczajnie subtelnie narysowani, i dwa niewielkie pejzaże, których koloryt, jakkolwiek też nieco ubogi, przewyższa znacznie pod tym względem inne płótna. Zwłaszcza „Do swojej zagrody“ odznacza się świeżością i względnie wielkiem bogactwem tonów.

Tego bogactwa należy szukać u Stanisławskiego. „W tonów milionie każdy ton on dobył, wie o każdym tonie“ i pamięta jednocześnie, że pejzaż tylko wtedy dobrze jest namalowany, kiedy jest dobrze narysowany. To też i pod tym względem trudno mu cośkolwiek zarzucić. Krajobrazy Stanisławskiego, wykończone zazwyczaj z przedziwną elegancyą i subtelnością, są bardzo małe rozmiarami, stąd obawa, że mogą one być „wylizane“, sztywne, martwe. Tak jednak nie jest. Na malenkich płócienkach umie Stanisławski malować bardzo śmiało i bardzo szeroko. Dość będzie, gdy przypatrzymy się obrazom jego z bliska. Każda plama jest tu kładziona śmiałem, szerokiem pociągnięciem pędzla, a pomimo to wydaje się z daleka, że każda trawka, każdy kwiatek oddzielnie jest wystudyowany. Stanisławski, jako pejzażysta, odznacza się jeszcze jednym rysem wybitnym. W naturze chodzi mu przedewszystkiem o prawdę, o tę prawdę, która wyraża się kolorem, linią, kształtem. Nie dba o wydobycie nastroju, stanów psychicznych natury, nie o ton ogólny, który o tym nastroju stanowi, lecz o ścisłe odtworzenie tej kombinacyi barw, świateł i kształtów, które w naturze widzi. Dlatego u niego tulipan jest tulipanem, łąka łąką, staw stawem a nie kanwą dla stanów duszy. Te cechy nie stanowią ani o wyższości, ani o niższości jego rodzaju przed innymi, to są jego cechy właściwe.

Żywem przeciwieństwem jego w pejzażu jest Rapacki. Temu chodzi o nastrój; więc tony lokalne stara się podporządkować ogólnemu, chociażby nawet to podporządkowanie miało wieść do przesady. Zapatrzył się na Chełmońskiego, lecz nie zawsze umiał mu dorównać w tem przedziwnem poczuciu miary, które w wysokim stopniu posiada mistrz jego, a które rzadko pozwalało mu zbaczać z gościńca prawdy. Studya włoskie oderwały Rapackiego chwilowo lub częściowo od pejzażu rodzimego. Pompeja dostarczyła mu tematów do mnóstwa płócien, z których wiele posiada wartość rzeczywistą, lecz na których miejscami odcisnął swe piętno Böcklin. W ostatnich pracach Rapacki wraca do równin mazowieckich i wraca *po swojemu.*

Gdybym się nie bał być fałszywym prorokiem (a mówiąc o Rapackim, łatwo się nim stać), powiedziałbym, że „Pustkowie" i „Przed burzą" znamionują zwrot w twórczości jego i to zwrot w kierunku własnym, interesującym, wolnym od naśladownictwa. W tych płótnach składa on, bodaj że po raz pierwszy w sposób szczery, hołd prawdzie, przestaje *narzucać* naturze duszę własną, stara się odkryć jej duszę i tworzy rzecz piękną. Pokłębione chmury na niebie, przepyszny w kolorze blask na widnokręgu, cicha, skupiona, doskonała w tonie, wyczekująca deszczu ziemia — wszystko to żyje rzeczywistem, *własnem* życiem na płótnie, z którego lecą błyski i bije grom. Jedno tylko: pan Rapacki powinien się koniecznie nauczyć, jak się maluje drzewa; to, które stoi w głębi obrazu, brzmi w tej potężnej symfonii żywiołów, jak martwy, głuchy klawisz.

Gdy już mowa o pejzażystach, wspomnę o dwu jeszcze. Eugeniusz Dąbrowa, który, jak się zdaje, po raz pierwszy występuje w Warszawie, dowodzi wystawionemi pracami, że odczuwa dobrze w naturze jej pół-tony i pół-światła („Jesień" i „Po deszczu") natomiast nie umie oddać jej blasków i światła pełnego: jego „Wiosna" jest zimną i martwą. W rdzawem złocie liści jesiennych przypomina nieco Leistikowa; przypomina — nie naśladuje.

Cały szereg pejzaży wystawił Piotrowski. Są to rzeczy drobne à la Stanisławski. Nie mają one ani subtelności prac pierwszego, ani tej szerokości w malowaniu, mają natomiast wiele zalet prawdy kolorytu — zwłaszcza w tonach zimnych.

W ostatnich czasach coraz częściej na płótnach naszych malarzy występuje miasto. I bardzo słusznie — ma ono, zwłaszcza przy oświetleniu wieczornem, bardzo wiele charakteru i dużo jakiejś własnej poezyi. U nas rodzaj ten bodajże stworzył Aleksander Gierymski, który tym razem dał „Bramkę w Lwowie," niestety rzecz o wiele słabszą od jego prac poprzednich w tym rodzaju. Mamy i Okunia „Piazza del Popolo," dobrze oświetlony z wodotryskiem na pierwszym planie, którego obramowanie kamienne, mokre, wilgotne wprost żyje. Tylko woda w basenie i piany na niej grzeszą martwotą. Czajkowskiego (i to nazwisko spotykamy po raz pierwszy) „Przed księgarnią w Paryżu," pomimo wad rysunku, zwłaszcza w postaci kobiecej z lewej strony, uderza życiem i prawdą oświetlenia.

Portretów tym razem wystawiono stosunkowo niewiele. Ze studyów Boznańskiej na pierwszem miejscu postawiłbym portret Kamieńskiego, bardzo podobny i bardzo żywy, lecz grzeszący zwykłemi wadami artystki: jakiemś jej właściwem, poszarpaniem powierzchni i pewną monotonią kolorytu. Ignacy Pieńkowski, którego pierwsze wystąpienie wywołało, zdaje się, hymny pochwalne przed kilkoma miesiącami, dzięki zaletom wyrazu, osiągniętego przez bardzo dobry rysunek, dał portret własny, rzeczywiście bardzo dobrze narysowany, lecz fałszywy zupełnie w kolorze. Ton ceglasty w różnych odmianach od złotej żółtości cytryny do krwawej czerwieni skórki pomarańczowej, ton narzucający się wszędzie, gdzie jest potrzebny i gdzie jest zupełnie zbyteczny, to wada organiczna jego portretów. Na tę samą chorobę cierpi również mglista bardzo „Analogia" pomiędzy staruszką, podającą coś młodzieńcowi, a widmowemi postaciami nagich, młodych kobiet w głębi. Szkic portretowy Krzyżanowskiego — to miła niespodzianka. Artysta ten wystawił zeszłej zimy wraz z innymi młodymi monachijczykami „Portret własny," spowity cały w powijaki starej monachijskiej manjery. Dziś z tych powijaków nie zostało śladu. „Szkic" jest bardzo prawdziwy, pełen życia, doskonały zwłaszcza w delikatnych, przejrzystych pół-światłach i pół-cieniach. Znać tu ogromny krok naprzód w kierunku prawdy.

„Zagadnienie powietrza i światła" („das Problem von Luft u. Licht") plein-airzystów zmodyfikowało się w ostatnich czasach o tyle, że staje się ono coraz częściej zagadnieniem światła sztucznego. Człowiek przy lampie i świecy, miasto przy świetle gazu zwykłego, Auera i elektryczności — oto co pociąga malarzy, odwracających się od wielkich, słońcem zalanych przestrzeni. Hołd temu dążeniu złożyło dość dużo artystów na wystawie inauguracyjnej, że wspomnę tylko dwu: Fabjańskiego i Strojnowskiego. Pierwszego „Targ na owoce" ma pod tym względem tyle zalet koloru i życia, że gotowi jesteśmy mu przebaczyć martwotę świateł z lewej strony obrazu. Drugiego „Zawsze ona," ta „ona," która zjawia się kochankowi nawet w pijanym szale gabinetu restauracyjnego, też przedstawia próbę rozwiązania zagadnienia światła sztucznego. Słabość pomysłu i kompozycyi (dlaczego zasnęły obie bachantki? co tu robią śpiący w pozycyi stojącej garsoni?) ratuje doskonała w rysunku i oświetleniu postać damy uśpionej (z lewej strony).

Rzeźba na wystawie ma właściwie jednego przedstawiciela i nim jest Biegas. Uczeń, a może już były uczeń akademii krakowskiej, nie czuje jeszcze pewnego gruntu pod nogami, nie widzi jeszcze własnej drogi przed sobą i dlatego, być może, idzie cudzą. Lecz dodajmy odrazu — tylko pod względem formy; treść ma już własną, znamionującą znaczny zasób fantazyi i niepowszednią głębię duchową. Nie znam Rodina w oryginale, lecz na zasadzie tego, co o nim czytałem i co widziałem w reprodukcyach, przypuszczam, że on to jest właśnie tym mistrzem formy, na którym w ostatnich swych pracach wzorował się Biegas. Przynajmniej znać u niego tę samą bryłowatość form, skutych kamieniem, spowitych w kamień, z którego nie mogą, lub nie chcą się wyłonić. Ten rodzaj nie wydaje mi się jednym z naturalnych etapów w rozwoju rzeźby, której ideałem jest bezwątpienia piękno i czystość kształtu. Natomiast pomysły ma Biegas głębokie i oryginalne. Oto Bóg-Ojciec błogosławiący pierwszemu uściskowi dwojga dzieci („Początek świata"); oto ludzkość, gwałtem wstrzymująca każdy poryw szalony, każdy pęd naprzód („Ludzkość"); oto w nędzy kończący byt swój rodzaj ludzki („Koniec świata"); oto płynie na skrzydłach myśli nagi kształt („Rzeźba"); oto sieje „Duch łez" po smutnej ziemi ciche, płodne łzy; oto mówią myśli do człowieka, mówią myśli słodkie, nęcące jak miłość, gryzące, jak jad sarkazmu, piekące jak ból, straszne jak rozpacz, a on coraz silniej się ugina pod ich ciężarem, coraz niżej chyli zmęczoną głowę („Rozmowa myśli"). Jaka tu głębia pomysłów i jakie ich bogactwo! Niestety, nie zawsze wyrażają się one jasno: „Złamane życie" jest zupełnie niezrozumiałe.

Zbiór akwafort i litografij imponuje u nas ilością i jakością prac i nazwisk. O wielu z tych nazwisk trudno wyrobić sobie pojęcie z powodu niedostateczności zbioru; z takiego naprzykł. Ropsa mamy zaledwie parę mało znaczących drobiazgów, z Hansa Thomy — tylko kilka litografij, z których dwie „Skrzypek wiejski" i „Centaur" mogą być zaliczone do lepszych; Greiner, Herkomer, Lieberman reprezentowani są słabo. Mamy tu nieco więcej Klingera (pisaliśmy o nim niedawno na tem miejscu), którego piękna „Droga" stanowi ozdobę zbioru, kilka rzeczy Kornelii Paczka, dość miękich i subtelnych w rysunku, a z naszych artystów Romana Kochanowskiego i Pankiewicza. Pierwszy, na którym znać wpływ Klingera, niewątpliwie artysta zdolny, miewa swoje chwile szczęśliwe („Potok" i „Na stepie"), kiedy zrzuca z siebie obcą skórę i tworzy rzeczy ładne i oryginalne; prace drugiego, to, powiedzmy krótko, arcydzieła subtelności i wdzięku. Trzeba mieć niesłychanie subtelne i ucywilizowane palce, aby z taką swobodą i pewnością cyzelować igłą rylca, jak to czyni w swych „pointe-seche'ach" i akwafortach Pankiewicz. Takie prace, jak „Kanał Piński," „Wenecya," „Barbarka," „Teatr Marcelluse," „Grobla" stawiają Pankiewicza nietylko na czele wszystkich (mamy ich zresztą, niestety, bardzo mało) akwaforcistów naszych, lecz również w rzędzie najgłośniejszych mistrzów współczesnych wogóle. Lecz czy u nas, wobec zamiłowania do malowanych płacht z „ładnymi widoczkami" i „interesującemi scenkami" znajdą „drobiazgi" Pankiewicza uznanie?...

Michał Mutermilch.

POEZYE

Z motywów szwajcarskich.

JEZIORO.

Cisza i szepty usiadły na straży...
Z gór płyną tłumy fioletowych cieni
Wzdłuż, po błękitnej jeziora przestrzeni,
Do drżących, sennych podobne mirazy.

Ktoś tam w głębinie o rozkoszy marzy...
Blade rusałki w powojach zieleni
Tęsknią do słońca miłosnych promieni
Nieme, o smutnej zadumanej twarzy.

A kiedy w letnie przeperlone noce
Z jeziora wstają opary — westchnienia,
Tysiące dziewic w bieli zamigoce

I wkoło nakształt żywego pierścienia
Na ponadbrzeżne wspinają się skały —
Pragną zadumę na świat wionąć cały...

WODOSPAD RENU.

Hosanna!
Miłość — rozkosz — szał!
W srebrną pianę
Rozbryzgane
Skaczą wody w cwał!

Bruzdy żłobią w zrębach skał
I spadają rozhukane,
Jak szaloną orgią pjane
Sploty nagich ciał.

W brylantowej mgieł koronce
Bije potok ku wyżynie...
A Ren szary płynie, płynie...

Tadeusz Skarga.

O prawdę.

W obronie munduru *).

Szanowny Panie Redaktorze!

W nr. 292 *Kuryera Warszawskiego* został pomieszczony artykuł pod tytułem: „Szanujcie mundur!" Ponieważ autor pomienionego artykułu posunął się zbyt daleko w swych wywodach co do praw społeczeństwa względem studentów, uważam za konieczne w imieniu swojem i swoich kolegów prosić Szanownego Pana o zamieszczenie w Jego poczytnem piśmie tych kilka słów w obronie noszonego przeze mnie i zbyt często w ostatnich czasach pociąganego

*) Z nadesłanych nam w tej sprawie listów zamieszczamy dwa powyższe, gdyż, pomimo charakteru polemicznego, wyjaśniają pewne strony życia studenckiego. (*Red.*).

przed „sąd" niepowołanych trybunałów studenckiego munduru.

Należy przedewszystkiem zauważyć, że autor wspomnianej filipiki ma zupełnie błędne wyobrażenie o stosunku studentów do warszawskiego społeczeństwa, o czem najlepiej świadczy jego zdanie, że studenci są „Beniaminkami" Warszawy, że otrzymują od niej pomoc materyalną i gorącą miłość serc, a zatem są obowiązani spełniać wymagania, narzucone im przez czułych opiekunów. Dla każdego, kto zna bliżej życie studenckie, takie zdanie może się wydać chyba szyderstwem, boć faktycznie, jeżeli mamy opiekunów, to przeważnie tylko takich, którzy w każdej chwili są gotowi udzielić trochę różnych rad — i nic więcej. Ażeby się o tem przekonać, dość jest trochę szczegółowiej rozpatrzyć formy, w jakiej społeczeństwo udziela zapomogi materyalnej studentom.

Istnieją trzy takie zasadnicze formy: honorarya za udzielanie korepetycyj; zapomogi, wydawane przez zarząd uniwersytetu z pieniędzy, pozostawionych do jego bezwzględnego rozporządzenia; zapomogi, otrzymywane z ofiarności publicznej w redakcyach warszawskich czasopism. O każdej z tych trzech form zapomogi trzeba oddzielnie powiedzieć słów parę.

Korepetycye w Warszawie dla ogółu studentów są zarobkiem bynajmniej nie świetnym, o tem każdy z nas wie z własnego doświadczenia. Dla większości z nas otrzymać korepetycyę z piętnastorublowem wynagrodzeniem miesięcznem za 1½ do 2 godzin dziennej pracy jest szczytem marzeń, boć na porządku dziennym są tylko korepetycye za 5, 6, 7, 8 rb. miesięcznie, a czasami i takich niema. Jako klasyczny wzór mogę przytoczyć fakt, że jeden z moich kolegów przez ostatnią nędzę był zmuszony wziąć korepetycyę za *dwa* rb. miesięcznie na Stawkach, podczas gdy sam mieszkał na ul. Wspólnej. Podobnych faktów w razie potrzeby mogę naliczyć i więcej.

Z tego, com powiedział o wynagrodzeniach za korepetycye, wynika, że społeczeństwo nie może, opierając się na nie, rościć sobie prawa do kontrolowania prywatnego życia studentów, bo właściwie w danym razie ono, mówiąc ogólnie, więcej bierze, niż daje. Zresztą, chociażby owe honorarya były jaknajlepsze, to i wtenczas należałoby wątpić, czy one upoważniają kogokolwiek do zwracania uwagi na coś więcej, prócz jakości kupionej przezeń pracy. Jeżeli od szewca i krawca wymagamy tylko sumiennego odrobienia przyjętych obstalunków, to nie widzę przyczyn, któreby pozwalały wkładać na studentów za dawane im wynagrodzenie jakichkolwiek innych obowiązków.

Co do zapomóg uniwersyteckich, należy zauważyć, że są one udzielane studentom, uznanym przez radę uniwersytetu, za potrzebujących i zasługujących na nie. Ponieważ sumy, z których się udzielają owe zapomogi, są oddane do *zupełnego* rozporządzenia wspomnianej rady, nikt, prócz niej, nie ma prawa do zobowiązywania studentów czemkolwiek z tego względu. Wszelka dodatkowa kontrola byłaby w danym razie, co najmniej, nie na miejscu.

Pozostaje mi powiedzieć jeszcze o zapomogach dla studentów, otrzymywanych z ofiarności publicznej. Zapomogi te nie są tak zbyt liczne, jakby się to mogło zdawać i dostają się tylko, rzecz naturalna, protegowanym. Jeżeli protektorzy sądzą, że udzielane przez nich pieniądze idą w niewłaściwe ręce, to niech oskarżają o to samych siebie i niech na przyszłość żądają od zwracających się do nich studentów np. świadectw o wypełnianiu pewnych przepisów. Może wtenczas przekonają się oni, że studenci nie zechcą korzystać z ich łask, bo przecież co innego jest przyjąć zaofiarowaną sobie pomoc przyjacielską, a co innego jest przyjąć jałmużnę.

Że ofiarność Warszawy dla nas nie jest obfitą i daleko nie odpowiada nazwie „Beniaminków," którą nas obdarzają, może świadczyć ogłoszona w ostatnich dniach lista studentów, wydalonych z uniwersytetu za niezapłacenie wpisu za pierwsze półrocze 1900/1 roku akad. Przed rokiem jeden z moich kolegów nie mógł składać egzaminów, ponieważ nie miał żądanych na wpis 50 rubli, a pomimo tego nikt z jego licznych znajomych nie przyszedł mu z pomocą. I cóż — trzeba było pozastawiać w lombardzie wszystko, co było możliwe do zastawienia; trzeba było prócz tego zapożyczyć się u lichwiarza, bo żadnej innej rady nie było. Więc czyż można wymagać od takiego człowieka, żeby do jego umysłu nie zakradły się zwątpienie i gorycz, żeby był przy wiecznie pustym brzuchu jakimś przybytkiem ideałów. Niech „Beniaminkowie" morzą się głodem, to im doda aureoli i poezyi, ale niech nie wożą się brać kart do ręki, bo wtenczas rozlegnie się krzyk, że młodzież trwoni pieniądze i ginie, chociażby, jak to ma miejsce w rzeczywistości, zapisywała przeważnie swe groszowe długi karciane węglem na ścianach, czekając z ich wypłaceniem, aż się same zredukują do szeregu zer.

Na zakończenie swojej odpowiedzi panu (czy pani) „Kaprysowi" z *Kuryera*, pozwolę sobie zauważyć, że jeżeli kto występuje publicznie, jako oskarżyciel czegokolwiek, i zabiera głos w imieniu społeczeństwa, to nie powinien ukrywać się pod pseudonimem, ażeby można było przynajmniej sądzić, czy społeczeństwo dało mu mandat mówienia za siebie.

Racz przyjąć, itd.

Józef Adamski.

Jak niesłusznem jest twierdzenie p. „Kaprysa," iż my sami nie poczuwamy się do obowiązku surowego karcenia osobników, odgrywających wśród nas smutną rolę szumowin, tłomaczyć ani jemu, ani jego koledze z *Gazety Polskiej* nie będę. Społeczeństwo nasze jednak zapewnić mogę, że owe smutne okazy studentami dlatego tylko nazwać się mogą, ponieważ noszą mundur a nazwiska ich są zamieszczone w spisie alfabetycznym nazwisk studenckich, lecz że ogół studencki starannie omija w obcowaniu owych panów. Sądzę, iż „mundur studencki" swoją skwapliwą gotowością do bezinteresownego służenia ogółowi, jak dawniej tak i dziś, nie zasłużył, aby mu czyniono niesłuszne zarzuty za przewinienia jednostek, które nigdy tolerowane nie były i nie będą.

Wystąpienie p. „Kaprysa" wydaje mi się zwykłą wycieczką reporterską, głównie obliczoną na sensacyę. Przecież p. K. wiedział o tem, że we wszystkich wzmiankowanych przez niego w nr. 292 *Kuryera Warsz.* okolicznościach („bywanie u niejednej Fryny warszawskiej," „asystowanie na wyścigach paniom z operetki") występują wciąż jedne i te same osobistości (o ile się nie mylę — *trzy*), a jednak przedstawia rzecz w taki sposób, jak gdyby chodziło tu przynajmniej o połowę ogółu studentów.

Gustaw Grotthus.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Fini. gaz.* zamieszcza rozkaz wojenny generał-gubernatora Finlandyi, żądający rozpowszechniania śród armii fińskiej języka rosyjskiego i zalecający w tym celu składanie trzy razy do roku raportów, obejmujących wiadomości o liczbie szeregowców w pułku dragonów fińskich i w każdym batalionie strzelców, mogących porozumiewać się w języku rosyjskim, a to w podziale na trzy grupy: 1) znających język rosyjski piśmiennie; 2) rozmawiających w języku rosyjskim; 3) uczących się języka rosyjskiego. Dane te brane będą pod uwagę przez generał-gubernatora przy szacowaniu pracy dowódców pułków, batalionów i rot w tym dziale ćwiczeń żołnierskich.

— Mowa Brisson'a przeciw trustom: „Kiedy przechodząc ulicą spostrzegam blade i wychudłe twarze kobiet, nie będących w stanie ani wyjechać do wód ani wypocząć, pytam siebie, skąd biorą odwagę synowie i mężowie tych kobiet do podtrzymywania polityki, mającej obecnie na celu skupianie bogactwa, z bezprzykładną w historyi szybkością, w ręku małej gromadki ludzi. Dziwię się, że ludzie, którzy sami nigdy nie sięgali do cudzej kieszeni i którzy mogą nie pozwolić sięgać do swojej, podtrzymują jednak kandydatów republikańskich, chociaż ich polityka dąży do zniesienia praw ludu i przeobraziła administracye kraju w rząd syndykatów i dla syndykatów." (*Siewier. kuryer* nr 326).

— *Temps* przytacza adres, jaki na żądanie deputowanego Dewitta mają zamiar podać Irlandcy przedstawiciele m. Dublina Krugerowi wraz z patentem honorowego obywatelstwa. „Wysoce Szanowny Prezydencie! Przyjazd Pana do Holandyi pozwala całej Europie wyrazić głębokie współczucie obu Republikom w ich bohaterskiej walce o wolność. Ojczyzna nasza, Irlandya, przez usta większości swych synów, wypowiada swój zachwyt i podziw, łącznie z całym światem. Jesteśmy wyrazicielami uczuć Irlandyi, których najlepszym dowodem jest wysłanie przez nas do parlamentu 82 posłów wrogich ministeryum, na które spada odpowiedzialność za wojnę z krajem Pana. Pragnęlibyśmy, aby, dla szczęścia samej Anglii, koniec wojny okazał się innym. Szlachetniejsi wśród Anglików przyznają, że przegrana przez nich przed stu laty wojna z Ameryką, wpłynęła dodatnio na własny ich rozwój i bieg całego świata. Ale przewaga liczebna, ogromne środki najbogatszego w świecie Państwa, jego bezwzględność i niesumienność w sprawach honoru oraz sprawiedliwości przemogły. Wam należy się cześć, na nich niech spadnie sromota!"

Odczyty. W sali Muzeum przemysłu i rolnictwa wygłoszonych będzie pomiędzy 5 listop. i 14 grud. 12 odczytów z dziedziny hygieny wieku dziecięcego. W listopadzie: d. 5 dr. Julian Kramsztyk: „Znaczenie hygieny w wieku dziecięcym. Przyczyny chorób dzieci. Śmiertelność i chorobowość dzieci," d. 9 i 12 dr. Jan Bączkiewicz: „O żywieniu niemowląt," d. 16 dr. Maryan Roszkowski: „O żywieniu dzieci starszych," d. 19 dr. Anna Tomaszewicz-Dobrska: „Ochrona narządu oddechowego i hygiena mieszkań," d. 23 i 26 dr. Adolf Kozerski: „Hygiena skóry dziecka," d. 30 dr. Roman Skowroński: „Ruch i ćwiczenia cielesne." W grudniu: d. 3 dr. Bolesław Ryszard Gepner: „Oko i wzrok," d. 7 d. Witold Szumlański: „Ucho i słuch," d. 10 dr. Władysław Ołtuszewski: „Hygiena mowy." d. 14 dr. Karol Rychliński: „Hygiena uczuć." Bilety abonamentowe można nabywać w kancelaryi Towarzystwa hygienicznego, Krakowskie Przedmieście nr. 66, codziennie, poczynając od poniedziałku d. 29 b. m. Cena biletów abonamentowych za 12 odczytów wynosi: rb. 4 kop. 50, rb. 3 k. 60, rb. 2 k. 70, rb. 1 k. 80 i kop. 90. Bilety pojedyncze sprzedawane będą przed każdym odczytem po kop. 50, 40, 30, 20 i 10.

— 2 listopada rozpoczną się w Bagateli pogadanki ogrodnicze. P. Edmund Jankowski: „o sadownictwie i ogrodnictwie przemysłowem." pp. B. Jezierski i K. Kulwiec: „z zoologii," p. Stanisław Brzozowski: „kwiaciarstwo szklarniowe." p. Edward Ciszkiewicz: „kwiaciarstwo kobiercowe," p. Józef Gebethner: „pędzenie roślin," pp. Walery Kronenberg i Teodor Chrzański: „o zakładaniu parków."

Ruch kobiecy. Kobiety w Prusach nie mają prawa znajdować się na zgromadzeniach stowarzyszeń politycznych; nie wolno im też zawiązywać własnych towarzystw. Prawo z 1887 r. politycznemi nazywa wszystkie sprawy, dotyczące konstytucyi, administracyi, prawodawstwa, nawet stosunków międzynarodowych. Tym sposobem rozprawy nad każdą kwestyą mogą się stać dyskusyą polityczną, a kobiety rozstrzygające sprawę powołania kobiet na stanowisko inspektorek fabrycznych, dopuszczają się bezwarunkowo naruszenia prawa. W tym roku Związek stowarzyszeń kobiet przedstawił parlamentowi petycyę, domagającą się zniesienia tego prawa.

— Kasa chorobowa (Krankenkasa) kupców, handlujących i aptekarzy w Berlinie wniosła podanie do Rady Rzeszy w sprawie stołków dla sprzedawczyń po sklepach. Z liczby 15,543 członków tej kasy 14,674 potrzebowało w r. z. pomocy lekarskiej. Podanie zawiera opinie wybitnych lekarzy, którzy wszyscy jednozgodnie domagają się uwzględnienia słusznych pretensyj.

— W czasie pomiędzy 1 maja a 31 sierpnia b. r. w ogólnej liczbie udzielonych patentów we Francyi 70 otrzymały kobiety.

Katastrofy. Na kolei Zakaukazkiej d. 26 października o godz. 7 wieczorem pomiędzy stacyami Grakali a Kaspij spotkały się dwa pociągi osobo-

nr. 6, jadący z Batumu do Tyflisu i towarowy nr. 109, jadący do Batumu. Znaleziono 20 rannych i 8 zabitych. Rozbite dwa parowozy, 4 wagony osobowe i 15 towarowych. Przyczyną katastrofy podobno była nieuwaga urzędnika na stacyi Grakali, który wypuścił pociąg osobowy.

— Pociąg pospieszny nr 102 pomiędzy Wiedniem a Wenecyą wykoleił się pod Conegliano. W liczbie rannych są Polacy.

Rozmaitości. *Emir Afganistanu, jako literat.* W pierwszym zeszycie nowego miesięcznika angielskiego *The Monthly Magazine* znajdujemy autobiografię Abdur-Rahmana, emira afganskiego. Zapewnia on czytelnika, że w niczem nie przypomina innych władców wschodnich. W dzień i w nocy tak zawzięcie pracuje dla narodu swego, że często zapomina o jedzeniu, zdarza się niejednokrotnie, że z zadumy o sprawach Afganistanu budzi się, pytając, „czy jadłem już dzisiaj?" Taki rodzaj życia sprawił, że zdrowie emira jest zrujnowane — W dalszym ciągu opowiada oryginalny literat, że bezustannie gotów jest do walki. „Po kieszeniach kapoty i ubrania spodniego pełno mam rewolwerów nabitych, dalej zapasy żywności na jeden dzień (codziennie odnawiane). Kilka strzelb i mieczów znajduje się w bliskości mojego łóżka albo stolika, na którym siedzę. Za progiem pokoju mam zawsze kilka wierzchowców, osiodłanych, gotowych do drogi, a siodła wypchane złotem i rewolwerami. „Nigdy nie można być dość ostrożnym i dość przygotowanym na wypadek wo naszym zapewnia, że autobiografia powyższa zdobyła w Anglii najwyższe uznanie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu X. w Płońsku. Kwestya, o którą Panu chodzi, dużo zajmują się czasopisma ruchu etycznego oraz organy feministyczne. Z książek w języku polskim istnieje słaba rzecz dr. Körniga. Co do poważnych przyczynków piśmiennictwo nasze w tym względzie nie posiada ani jednego dzieła. Istnieje o tym przedmiocie parę prac prof. uniwersytetu petersburskiego, Tarnowskiego.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Октября 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.